Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

GEMMA CIVITATIS
PAX

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

ROK X. Warszawa, 1 sierpnia 1954 r. Nr (453) 31

W NUMERZE — Wojciech Kętrzyński: *W sierpniową rocznicę*; ks. Wenancjusz Maćkowiak: *Światopogląd i charakter*; Mikołaj Bieszczadowski: *Pieśniarz andaluzyjski*; Federico Garcia Lorca: *Wizerunek Petenery*; Jerzy Krzyształoń: *„Płacz ukochany kraju"*; Wanda Chylicka: *Matka wyszła z domu*; Stanisław Sapało: *„Roxana" Daniela Defoe*; Eryk Szadkowski: *Poeta i jego teatr*; Konrad Eberhardt: *Wesele nie całkiem beztroskie*; Andrzej Szarek: *Poszukiwania twórcze Dymitra Szostakowicza*.

JERZY SZELIGA

SPOTKANIE W LUBLINIE

STOIMY na Krakowskim Przedmieściu, w pobliżu „Lublinianki". Tłum gęstnieje coraz bardziej, napiera na liny oddzielające chodnik od jezdni, czeka. Pod łokciami nurkują dzieci, wybiegając poza skraj krawężnika.

Nagle, daleko od nas, chyba aż gdzieś na wysokości KUL-u, poczynają trzepotać oklaski. Zrazu ciche — szybko biegną ku nam, nabierając z każdą sekundą mocy, by po chwili ze wszystkich stron spaść na nas jednym ogłuszającym grzmotem.

— Idą!...

Starszy pan w okularach rozpaczliwie wspina się na palce. Spoglądam w głąb barwnej, pełnej słońca ulicy. Daleko za biało-czerwoną trybuną, z zielonego obramowania przydrożnych drzew wychyla się czoło kolumny. Teraz już widać ich wyraźnie: nad szosą płynie równa wstęga żółtych otoków.

Idą Kościuszkowcy. Miarowy krok maszerujących oddziałów nie może zagłuszyć wznoszonych przez tłum okrzyków. Wysoko, wyrastając ponad zimny blask bagnetów, trzepocze sztandar Pierwszej Dywizji. Ten sam, który prowadził ją do szturmu przez pola Lenino i zdradliwe mokradła Miereji.

Kątem oka spoglądam na mego towarzysza. Wspięty na palcach nie przestaje klaskać, wykrzykuje bezładne słowa, których nie mogę zrozumieć, śmieje się do żołnierzy, o mało nie przerwie liny i nie wypadnie na jezdnię, kwitnącą w tej chwili wiązankami goździków i peonii.

Idą żołnierze KBW. Za nimi — zielone mundury WOP-u. Warczą motory silnych wozów. Na maskach czytam: „Lublin". Jadą „Katiusze". Błękit nieba tną srebrzyste błyski. To klucze odrzutowców. Suną ku nam czołgi. Na lufach dział — białe krzyże, świadectwa zwycięskich bojów i potyczek. Narasta, potężnieje huk silników, coraz głośniej grzechoczą pierścienie stalowych gąsienic.

I nagle, poprzez głuszący wszystko ryk maszyn, wyczuwam podświadomie, że starszy pan ucichł, że stoi teraz bez ruchu. Istotnie: widok czołgów tak go pochłonął, że nawet zapomniał o oklaskach. Przez długą, długą chwilę w milczeniu odprowadza wzrokiem defilującą kolumnę. Gdy napotyka moje spojrzenie — pochyla się w moją stronę i krzyczy mi w ucho:

— Te same, te same! Wtedy, w czterdziestym czwartym, stałem pod „Europą", widziałem dokładnie! Poznałbym je wszędzie!

Mój wzrok wyraża powątpiewanie. Starszy pan krzyczy więc jeszcze głośniej:

— Na pewno je już widziałem, pamiętam dobrze. Równo przed dziesięciu laty. Stałem wtedy przed „Europą", pamiętam, pamiętam! Takiego dnia, jak tamten nie można zresztą zapomnieć. Takich, jak ten też się nie zapomina! Przekona się pan!

Jest zazerwieniony na twarzy; w źrenicach płoną mu wesołe, radosne błyski.

Defilada trwa.

2

W dużej, oszkłonej gablocie, na czerwonym suknie leży niewielka kartka papieru. Gdy się pochylisz — możesz przeczytać: *„Do Narodu Polskiego! Polacy w kraju i na emigracji! Polacy w niewoli niemieckiej! Rodacy! Wybiła godzina wyzwolenia. Armia Polska obok Armii Czerwonej przekroczyła Bug..."* Manifest PKWN. Litery są niewyraźne, spłowiałe na słońcu, wypłukane deszczem. Na szklanej tafli — wiązanka biało-czerwonych goździków. To wszystko. Tak mało, a jednocześnie tak wiele.

Długą chwilę stoisz bez ruchu. A potem ruszasz przed siebie krętymi korytarzami Lubelskiego Zamku, przez carów zamienionego na więzienie, a przez Polskę Ludową odrestaurowanego i przeznaczonego na piękny Dom Kultury.

Idziesz przez sale, korytarze i krużganki, w których spotkały się dwie epoki: tamta, która minęła bezpowrotnie i ta, w której tworzeniu wszyscy współuczestniczymy. Między nimi zaś — na podobieństwo granicznego słupa — bieleje niewielka kartka papieru. Kartka, która przełamuje życie naszego pokolenia na dwie połowy.

Wędrujesz po Lubelskim Zamku, po Wystawie X-lecia, oglądasz wykresy, plansze, tablice. Wprawdzie mówią one o sprawach, należących już dziś do historii, ale przecież znasz tę historię dobrze i pamiętasz, jaka treść kryła się pod suchymi pozornie cyframi. Patrzysz, jak stare czasy spotykają się z nowymi, jak stają obok siebie i usiłują się porównać w jakichś wymiernych cyfrach. Pożytecznym i potrzebnym zajęciem jest taka konfrontacja.

Gdy więc po dwóch, czy trzech godzinach opuszczasz Lubelski Zamek — nie żal ci tych godzin. Raz jeszcze przystajesz w hallu, pochylając się nad oszkloną gablotą, w której na czerwonym suknie bieleje spłowiała kartka Manifestu.

Ona wytyczyła naszą drogę.

3

INŻYNIER Józef S. pracuje w Fabryce Samochodów Ciężarowych im. Bolesława Bieruta. Ma 29 lat. Pochodzi z Lubelszczyzny, z powiatu biłgorajskiego. Siedzimy razem w ogródku nowootwartej kawiarni przy ul. Kowalskiej. Kawiarnia jest maleńka, pachnie jeszcze farbą, kilka okrągłych stolików skryło się we wnęce odrestaurowanych murów. Barwne parasole chronią się od słońca.

— Cyfr nie pamiętam — mówi inżynier — zresztą nigdy ich nie znałem. Pamiętam za to, że jesienią chodziliśmy do dworu wybierać marchew i buraki. Za pracę, proszę mi wierzyć, że nie lekką, płacono nam liśćmi. Połowa liści dla nas, połowa dla dworu. No i buraki też dla dworu. Albo marchew.

Z wielkich głośników dobiegają znajome piosenki. To śpiewa „Mazowsze". Chodnikiem, tuż obok nas, płynie nieprzerwany strumień przechodniów.

Z Wystawy Rolniczej wracają ludzie, niosąc świąteczne sprawunki, poczynione na kiermaszu. Zatrzymują się przed odbudowanymi kamieniczkami Podzamcza, szeroko otwartymi oczyma chłonąc ich wskrzeszone piękno.

— Cyfr nie pamiętam — powtarza inżynier — ale wiem, że gdy matka po śmierci ojca zwracała się do któregoś z zamożniejszych sąsiadów o pomoc w obróbce ziemi, bo nie miała ani sił, ani konia — to za jeden dzień pracy dwoma końmi musiała odrobić temu gospo-

Brama Grodzka

darzowi 14 dniówek. Jeżeli zdarzyło się, że ktoś dla obróbki swej ziemi potrzebował przez 20 dni pary koni, to musiał odrabiać w ciągu roku 280 do 300 dniówek. Taka była taksa. A ów dobroczyńca, właściciel koni, jak tylko przyjechał na pole, to z miejsca pytał, czy ma robić dobrze, a pomału, czy też źle, a prędko. Nie potrzebuję wam chyba dodawać, że niezależnie od decyzji właściciela działki robił i pomału, i źle...

Milczymy. Powietrze jest parne, zwiastujące deszcz. Flagi zwisają ciężko wzdłuż wysokich masztów. Wiatr ustał zupełnie.

Od Stalingradzkiej w stronę Wystawy, zmierzając w kierunku widocznych z dala pawilonów Państwowych i Gminnych Ośrodków Maszynowych zdąża spora grupa młodzieży wiejskiej. Chłopcy mają białe koszule, dziewczęta kwieciste sukienki i kolorowe zapaski.

— Ciekaw jestem, czy są wśród nich z mojego powiatu... — mówi jakby do siebie inżynier z biłgorajskiego, syn małorolnej chłopki. — Przyjdą tu na pewno. W Lublinie jest ich dziś sporo, widziałem w czasie defilady...

Do stolika podchodzi kelnerka. Płacimy.

4

NAZYWA się Eugeniusz Kabza. Przyjechał do Lublina aż spod Kłodzka. Jest oborowym w spółdzielni produkcyjnej w Krosnowicach.

Stoi teraz otoczony grupką przybyłych na wystawę chłopów, zarzucających go gradem pytań.

— Czy „Sybilla" naprawdę daje w roku 9 tys. litrów mleka? — powtarza. — Myślę, że nie mam w tym nijakiego interesu, aby was oszukiwać. Wierzcie, albo nie. Ale popatrzcie na tę „Sybillę". Chyba wygląda na taką, że tyle od niej udoi, co?

„Sybilla", pupilka Kabzy, flegmatycznie przeżuwa pokarm. Tu, na Centralnej Wystawie Rolniczej, w sercu miasta, które w dniu tym — tak, jak przed dziesięciu laty — znów stało się głównym ośrodkiem zainteresowania całego kraju, otoczona gronem poważnych gospodarzy, znanych hodowców — zachowuje się tak, jak na swym nadodrzańskim, spółdzielczym pastwisku. A chłopi obserwują ją uważnie, kręcąc z podziwem głową. Trudno uwierzyć, że „Sybilla" daje niemal 6 krotnie więcej mleka, niż wynosi przeciętna mleczność krów w Polsce!

— Powiedzcie, jak do tego przyszło? — pyta wysoki, barczysty chłop, brygadzista oborowy jednej ze spółdzielni wielkopolskich.

Kabza uśmiecha się, zapala papierosa i przysiada na wilgotnej jeszcze belce. Rozmowa zaciąga się na dłużej.

— Widzicie, koledzy — zaczyna — po pierwsze trzeba pamiętać stale o tym, że jak to mówią: „krowa pyskiem doi", po drugie...

Ludzie słuchają uważnie. Ktoś czyni w notesie zapiski.

I tak jest na całej Wystawie. Przed poszczególnymi stoiskami, we wszystkich pawilonach gromadzą się ci, dla których przede wszystkim urządzono tę Wystawę — pracujący chłopi z całej Polski, wymieniają między sobą doświadczenia, dzielą się uwagami dotyczącymi takich, czy innych maszyn, mówią o usprawnieniach, które należałoby zastosować, pomagają sobie wspólnie w rowiązywaniu i usuwaniu dokuczających im bolączek.

5

DZIWNY to był dzień — powiedziała do mnie Maria Jonik, gdy wieczorem szliśmy rojną, płonącą tysiącem świateł ul. Stalingradzką — dziś po raz trzeci przyszła do mnie młodość, znowu odmłodniałam o wiele, wiele lat...

— Niech pan słucha: pierwsza młodość była wtedy, gdym miała dwadzieścia, kawał czasu już od tego upłynął. Druga przyszła do mnie dokładnie przed dziesięciu laty, no, a trzecia dziś. Właśnie dziś...

Szliśmy bez pośpiechu zatłoczonym chodnikiem. Niebo przecinały jaskrawe smugi reflektorów. Od strony parku dobiegały przyciszone odległością i gwarem ulicy dźwięki koncertujących orkiestr.

Jonikowa opowiadała. Słuchałem uważnie niezwykłej, a zarazem tak prostej i znanej opowieści o trzech młodościach lubelskiej chłopki.

Pierwsza z nich była młodością zmarnowaną, zaprzepaszczoną. Zgasła szybko, zbyt szybko. Rozwiała się gdzieś na dworskich polach pod Białą Podlaską, uwiędła w pracy na cudzej ziemi, uschła z nadmiaru zgryzot i zmartwień. Nic po sobie nie zostawiła. Żadnych jasnych wspomnień, żadnych trwałych wartości. Nawet umiejętności czytania.

Druga młodość przyszła do Jonikowej przed dziesięciu laty. Też w lipcu. Idąc zakurzonymi lubelskimi drogami, przedzierając się przez wertepy, pary i chaszcze, radosna i zuchwała, pełna wiary w człowieka odnalazła w zapadłej wiosce zmęczoną wyrobnicę, wyprostowała jej zgięte plecy, oczom przywróciła blask, a rękom siłę i energię.

(Dokończenie na str. 7)

Brama Krakowska od strony Starego Miasta

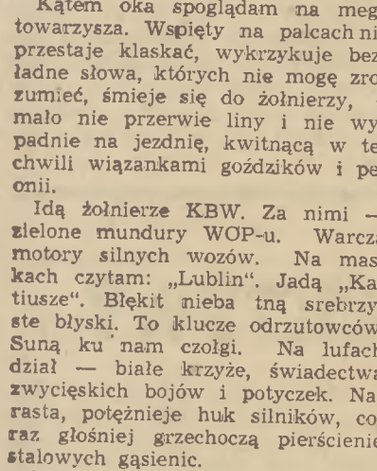

Brama Trynitarska

DOMINIK HORODYŃSKI

PRZYKŁAD GENEWY

WSZYSCY zdają sobie sprawę, że znaczenie sukcesu konferencji genewskiej nie ogranicza się bynajmniej do spraw samych Indochin ani nawet Azji, że wywrzeć musi olbrzymi wpływ na całość sytuacji światowej i może oznaczać początek zasadniczego zwrotu w stosunkach międzynarodowych. By zrozumieć, jak poważne zwycięstwo odniosły siły pokoju w Genewie wystarczy zauważyć, że dziś, po dwóch miesiącach trudnych obrad całość sytuacji międzynarodowej uległa głębokim zmianom. Warto przypomnieć sobie ten nastrój napięcia i groźby w jakim otwierała się konferencja i ocenić ogrom dokonanego przez nią dzieła.

Zakończona została okrutna wojna kolonialna przez osiem lat niszcząca Wietnam. W kraju tym zapanował tak długo oczekiwany, upragniony pokój, możność zorganizowania demokratycznego państwa w północnej, bogatej części kraju i perspektywę osiągnięcia zjednoczenia i pełnej niepodległości drogą pokojowych rokowań. Bohaterska walka wyzwoleńcza narodu wietnamskiego, która przyniosła mu podziw i sympatię wszystkich uczciwych ludzi na całym świecie skończyła się zwycięstwem słusznej sprawy narodu.

Konferencja genewska stała się przełomem w powojennej historii francuskiej. Zrobiony został pierwszy krok w kierunku uwolnienia Francji z brutalnych pozostałości kolonializmu boleśnie ciążących na sumieniu większości Francuzów. Skończył się koszmar brudnej wojny wysysającej żywotne siły Francji, obezwładniającej ją politycznie, coraz ściślej wiążącej ją z awanturniczą polityką Departamentu Stanu i ograniczającej jej samodzielną rolę w Europie. Zmiana rządu francuskiego, odsunięcie od władzy zaciekłych ideologów „krucjaty" stało się możliwe w rezultacie zaostrzenia przez przebieg konferencji wewnętrznych sprzeczności francuskich i obudzenia się narodowych sił Francji. Dzięki sukcesowi konferencji premier Mendès France zdołał w krótkim czasie zdobyć dla swego rządu szerokie poparcie opinii publicznej i autorytet, którego brakowało kilkunastu poprzednim rządom francuskim. W oparciu o ten autorytet nowy rząd francuski może prowadzić narodową i samodzielną politykę. Nie przesądzając przyszłości można bez przesady stwierdzić, że Francja uwolniona od ciężaru wojny indochińskiej, Francja, w której MRP i skrajnie reakcyjne, kosmopolityczne ośrodki polityczne znalazły się poza rządem, Francja bez Bidault, Laniela, Plevena czy René Meyera jest krajem o zupełnie innej pozycji i możliwościach w świecie i w Europie od Francji sprzed dwóch miesięcy.

KONFERENCJA genewska uzmysłowiła opinii światowej istotną rolę i potęgę Chin Ludowych, których pierwsze wystąpienie na arenie międzynarodowej było walną przyczyną zwycięstwa ducha rokowań i porozumienia. W świetle obrad genewskich absurdalność polityki Stanów Zjednoczonych usiłującej z uporem odsuwać Chiny Ludowe od ONZ stała się jeszcze bardziej widoczna. Wizyta premiera Czou En-laia w Indiach i w Burmie, radość z jaką Indonezja, Ceylon i inne kraje azjatyckie przyjęły zakończenie wojny w Indochinach wskazują, że przykład Chin Ludowych i ich polityka znajduje coraz większe zrozumienie i poparcie w południowo-wschodniej Azji zagrożonej amerykańskimi planami wojennymi

W Genewie Związek Radziecki, broniąc pokoju przed szaleństwami Departamentu Stanu, nie wystąpił sam. Obok delegacji radzieckiej znalazły się inne delegacje naszego obozu. Natomiast tak reklamowany przez Dullesa „wspólny front" państw zachodnich nie wytrzymał próby Genewy. Wielka Brytania wyprzedziła w czasie Francję i pierwsza załamała ten „front" w obawie przed skutkami nieodpowiedzialnych posunięć amerykańskich.

Jednym z najcenniejszych wkładów konferencji genewskiej w walkę o pokój stało się to, że uświadomiła ona nowe miliony ludzi o wojennym charakterze polityki Departamentu Stanu. Trzeba przyznać, że jego kierownicy zrobili dużo, by klęska ich dyplomacji była jak najgłębsza. Nie rachując się całkowicie z nastrojami opinii światowej, z powszechną wolą pokoju Dulles wystąpił jawnie jako rzecznik rozszerzenia wojny i od pierwszej chwili dążył do zerwania konferencji. Gdy wysiłki te nie przyniosły rezultatu dyplomaci amerykańscy „obrazili" się na Genewę ograniczając się do sabotowania jej prac rozwijając natomiast niezwykle ożywioną działalność na wszystkich innych terenach rzeko-

(Dokończenie na str. 6).

W sierpniową rocznicę

Rocznica wybuchu powstania w Warszawie, w pierwszych latach po wojnie wywoływała głęboką falę rozgoryczenia we wszystkich kręgach narodu, zarówno wśród tych, którzy o tych dniach myśleli ze zbyt łatwym entuzjazmem, jak i u tych, których przepełniała gorycz i świadomość doznanej i nikomu niepotrzebnej klęski.

Z każdym jednak rokiem oddalającym nas od wybuchu powstania malało napięcie uczuciowe a uwagę naszą odwracały od przeszłości nowe zadania i nowe osiągnięcia.

Taka jest normalna kolej rzeczy. Każdy naród powinien żyć swoją przyszłością i zadaniami dnia bieżącego powinny go pasjonować bardziej niż rozpatrywanie błędów przeszłości. Byłoby jednak również rzeczą niesłuszną nie wspomnieć w tę dziesiątą rocznicę faktu, który tak bardzo zaważył na naszych dziejach i który kosztował naród tak bardzo wiele krwi i tak bardzo wiele zniszczeń. Trzeba więc poświęcić chwilę uwagi wydarzeniom, których konsekwencje do dziś dnia odrabiają znojną pracą budowniczowie Warszawy.

Powstanie warszawskie było nieuniknioną konsekwencją świadomie prowadzonej polityki przez te ośrodki konspiracji polskiej, które w latach 1939—1944 kierowane były z Londynu. Była to polityka służenia interesom politycznym londyńskiej emigracji, a nie interesom narodu polskiego. Była to polityka tworzenia w Polsce nastrojów wrogich nadchodzącym społecznym przemianom, nie zaś polityka budowania przyszłości naszego kraju. Nie była to w istocie rzeczy polityka walki z najeźdźcą niemieckim, a tylko taktyka wykorzystywania nastrojów patriotycznych dla przygotowywania przyszłej kontrrewolucji.

Dlatego, wbrew oczywistym zasadom rozsądku i interesu narodowego wybuchło w dniu pierwszego sierpnia 1944 roku powstanie w Warszawie, powstanie, które z góry skazane było na klęskę. O tym przywódcy polityczni i wojskowi wiedzieli z góry doskonale. Elementarne obliczenie sił militarnych i podstawowa ocena sytuacji politycznej w kraju wskazywały w sposób oczywisty na katastrofę wszelkiej akcji zbrojnej nie opartej o ścisłą współpracę z nadchodzącą Armią Radziecką. Reakcyjne cele polityczne powstania uniemożliwiały samo przez się to niezbędne współdziałanie.

Społeczeństwo warszawskie nie było w swojej ogromnej większości świadome ukrytych celów politycznych powstania, dobrze zamaskowanych patriotycznym frazesem. Bohaterstwo, poświęcenie, nadludzka wytrzymałość i karność powstańczych żołnierzy świadczy o woli walki z hitlerowskim najeźdźcą, jaka ożywiała w tym czasie najszersze kręgi społeczeństwa. Tylko najgłębszym bólem może nas ogarniać świadomość, że te wartości zostały tak zupełnie zmarnowane przez zdradzieckie kierownictwo polityczne.

Każdy naród pełnowartościowy musi być zdolny do ponoszenia nawet największych strat materialnych w imię słusznej sprawy o ile sytuacja historyczna tego wymaga. Nie w tym też tkwi zarzut zdrady interesów narodowych, wytoczony wodzom powstania, lecz w tym, że zrobili to świadomie wbrew interesom narodowym.

W niczym nie zmniejsza to hołdu, który w tę rocznicę winniśmy złożyć tysiącom mniej lub bardziej nieznanych bohaterów, którzy oddali swe życie lub przelali swą krew w powstaniu warszawskim przeświadczeni, iż czynią to w imię najuczciwiej pojętej miłości Ojczyzny. Poległym należy się cześć i pamięć, żyjącym — pełna możliwość okazania się w Polsce Ludowej jednakowo bohaterskimi budowniczymi, jak byli żołnierzami.

Dziesięciolecie było widownią zaciętej walki o świadomość narodową. W walce tej „orientacja londyńska" poniosła ponowną druzgocącą klęskę.

W toku tych dziesięciu lat wraz ze wzrostem dojrzałości politycznej i świadomości społecznej okrzepła jedność narodu oddanego wspólnemu celowi: budownictwa socjalistycznej przyszłości, a w pracy tej udział biorą także szeregi byłych powstańców.

W następnym dziesięcioleciu nie będzie już „problemu powstania", będzie już tylko zacieranie ostatnich śladów bezpowrotnie minionej katastrofy.

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

Dyskusja o kapłanie społecznie postępowym

ŚWIATOPOGLĄD I CHARAKTER

Ks. WENANCJUSZ MAĆKOWIAK

ZAPOCZĄTKOWANA przez Wojciecha Kętrzyńskiego dyskusja o kapłanie społecznie postępowym zmusza każdego trzeźwo myślącego człowieka do głębokiego zastanowienia. Temat — bądźmy szczerzy — nie jest łatwy. Wymaga szerokiego spojrzenia na całość kapłaństwa wraz z jego społecznymi powiązaniami w świecie współczesnym. Wymaga też wnikliwej analizy w głąb tego trudnego, lecz bardzo aktualnego zagadnienia. Jest ono tak obszerne, że można je — w toku dyskusji — rozpatrywać z różnego punktu widzenia, zawsze jednak w odniesieniu do podstawowego celu, a tym jest — tak przynajmniej uważam — jasne i wyraźne określenie osobowości kapłana społecznie postępowego. Innymi słowy — chodzi tu o wypracowanie takich cech osobowości, które będą właściwe kapłanowi społecznie postępowemu nie jako odrębnej jednostce, lecz w znaczeniu ogólnie przyjętego typu. Dziś bowiem, gdy ruch społecznie postępowy nabiera coraz większego znaczenia, trzeba zwrócić baczną uwagę na ten właśnie element żywy i twórczy, na człowieka, dokładniej — kapłana, od którego w dużej mierze zależy dalszy rozrost naszego ruchu. Rola kapłana nie jest łatwa, bo zawsze pełna wielorakich i odpowiedzialnych obowiązków: szafarza i pośrednika, pasterza i ojca duchownego, przełożonego i wychowawcy, a także i działacza społecznego. Nic więc dziwnego, iż problem ukształtowania doskonałej osobowości kapłana jest niezmiernie ważny. Tym bardziej dziś, gdy ruch społecznie postępowy podjął się doniosłej sprawy właściwego ustawienia katolicyzmu w ustroju socjalistycznym.

Nowe czasy wołają o nowych ludzi, którzy potrafią wypełnić narzucone przez życie wymagania. Takim nowym człowiekiem staje się kapłan idący drogą społecznie postępową. Wejście na taką drogę dla niektórych nie jest zbyt łatwe. Trzeba bowiem dokonać głębokiego rachunku sumienia ze sobą, z własnym stylem życia i ze sposobem podejścia do Boga, świata i ludzi. Trzeba wreszcie na rozdrożach historii rozliczyć się ze współczesną kulturą i cywilizacją, wziąć z niej na dalszą drogę to, co wartościowe i twórcze, a bez żalu odrzucić niepotrzebny balast skostniałego tradycjonalizmu i burżuazyjnej mentalności. Łatwo się mówi „trzeba", lecz trudniej jest wykonać to, co nieraz od dawna leży już w naszych zamiarach Dlaczego?

Bo każdy z nas — przyznajmy otwarcie — jest dzieckiem swej epoki i mniej lub bardziej świadomie uzależniony jest od środowiska, z którego wyszedł. Stąd odczuwany nieraz lęk przed konfrontacją z rzeczywistością nie chce dopuścić do świadomości faktu zaistnienia kryzysu współczesnej cywilizacji kapitalistycznej. Te właśnie ujemne obciążenia są jeszcze udziałem niektórych przedstawicieli duchowieństwa, dlatego nic dziwnego, że próg nowej epoki przekroczyli ci kapłani, którzy rewolucję przeszli już we własnym sercu. Moment uczuciowy odgrywa tu rolę bodźca zmierzającego do odrodzenia osobowości. Samo uczucie nie wystarcza na dłuższą metę, toteż dalszy proces właściwego ukształtowania typu kapłana społecznie postępowego odbywa się na drodze pogłębiania światopoglądu katolickiego i wychowania charakteru. Najważniejszą jednak cechą tego odrodzenia są zmienione czyny, a wśród nich — przejście z pozycji wstecznych na pozycję społecznie postępową, której wyrazem jest zrozumienie przez kapłana współczesnej mu rzeczywistości.

Zrozumieć sens Kościoła i jego historii, to znaczy przyjąć, że cel, który Kościół stawia na pierwszym miejscu — zbawienie duszy, chociaż osiąga się głównie przy pomocy środków nadprzyrodzonych to w myśl słusznej zasady — „gratia supponit naturam" — pominąć nie wolno w żadnym wypadku środków przyrodzonych, wyrastających z przemian i układów indywidualnego i społecznego życia człowieka. Kapłan społecznie postępowy nie pozostaje obojętny wobec tych konfratrów, którzy żyjąc odrywają się od współczesnego życia, a przez co pozbawiają wiarę i moralność naturalnego fundamentu dla ich rozwoju. Tkwieniu w abstrakcji — przeciwstawia się obiektywne zrozumienie rzeczywistości i konkretnie sprecyzowane duszpasterstwo w myśl tezy: „Kto chce pracować w nowym świecie, musi wpierw ten świat poznać".

Kościół nieraz już wyjaśniał, że nie ma w wyrokach Bożych zarządzeń przypadkowych lub wątpliwych. Stąd kapłan społecznie postępowy z pokorą przyjmuje tę rzeczywistość, w której Bóg pozwolił mu działać. Dlatego obowiązkiem jego jest wskazywać na to, że nasze teorie muszą zdawać egzamin przed rzeczywistością. Wymaga to jednak odwagi spojrzenia w oczy historii. I tej odwagi nie może nigdy zabraknąć kapłanowi społecznie postępowemu. Warto przypomnieć słowa kardynała Salieges z Tuluzy, który w 1947 roku pisał: „Przemiany obecnego świata dochodzą już do wrót Kościoła, a nawet wkroczyły w jego progi, gdyż żyjemy na tej samej planecie... nie powinniśmy na postęp zamykać oczu, gdyż obawy czy strach mogą równać się zdradzie. Te kościoły i parafie, których całe życie zamykało się dotychczas w ceremoniach, muszą ustąpić dziś miejsca parafiom zorganizowanym jako wspólnota bijąca pełnym rytmem życia Ewangelii, w którym czynny udział społeczny wezmą wszyscy wierni... musimy dobrze poznać dzisiejszy świat, poznać jego troski i potrzeby, nie tylko duchowe, lecz i materialne, musimy znaleźć drogi, na których prawda będzie w pełni osiągnięta". A na innym miejscu wołał kard. Saliegas z odwagą: „dziś wierzę w zwycięstwo świata robotniczego i chłopskiego, gdy wielu jeszcze spodziewa się zwycięstwa świata kapitalistycznego i trustów przemysłowych".

Taką wiarę w zwycięstwo sprawiedliwości społecznej publicznie akcentować powinien kapłan społecznie postępowy. Ale i na tym jeszcze nie kończy się nasza postawa wobec rzeczywistości. Idźmy naprzód patrząc trzeźwo w oczy historii. Nie lękajmy się mówić i o tym, że rozwój chrześcijaństwa został zahamowany w przeszłości, a zwłaszcza w wieku XIX, kiedy to ludzie naszego pokroju rozpaczliwie sygnalizowali nieprzerwanie powiększający się rozbrat między rozwojem form społecznych a katolicyzmem, który w wielu wypadkach — nie z winy doktryny, ale z błędów naszych poprzedników — stał się obojętny, a nieraz i wrogi wobec proletariatu i słusznych jego potrzeb.

Na podstawie tego, co dotąd powiedziałem, można wysunąć tezę, że zgodnie z dziejowym posłannictwem Kościoła w czasie, przestrzeni i odniesieniu do obecnej rzeczywistości — nasze często przestarzałe metody duszpasterskie i nasz styl pracy muszą ulec przewartościowaniu na nowe, bardziej pod względem miłości i sprawiedliwości społecznej sprecyzowane apostolstwo. Tezę powyższą w całej rozciągłości stara się realizować ruch społecznie postępowy katolików polskich. Lecz bywa — choć już coraz rzadziej — że niektórzy niezorientowani kapłani powątpiewają o słuszności tej tezy stanowiąc pożywkę dla wstecznych i reakcyjnych poglądów tkwiących jeszcze gdzieniegdzie w społeczeństwie.

Trzeba sobie zadać pytanie: jakie są przyczyny społecznie postępowej postawy kapłana katolickiego w dobie obecnej?

Przyczyny te nie leżą w samej tylko ideologii, gdyż jest ona jedynie funkcją szerszego zakresu prawd i przekonań o Bogu, świecie i człowieku. Tym nadrzędnym zakresem dla ideologii społecznie postępowej jest światopogląd katolicki. Ruch społecznie postępowy może się poszczycić tym, że ideologia jego jest realna — to znaczy skonstruowana na obiektywnych przesłankach historycznych tak z dziedziny politycznej, jak i społeczno-gospodarczej. Jest też ideologią doktrynalnie zgodną z katolicyzmem w jego części Boskiej i niezmiennej, a więc w dziedzinie wiary i moralności oraz łączności jurysdykcyjnej z Głową Kościoła — papieżem i biskupami. Jest wreszcie ideologią żywą to znaczy coraz gruntowniej przez nas przyswajaną i wprowadzaną w czyn. Bo tylko taka ideologia daje gwarancję dalszego rozwoju i konkretnych osiągnięć społecznych. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Otóż realność naszej ideologii, jak i doktrynalna zgodność z Kościołem Powszechnym oraz jej żywość zależą — jak wspomniałem — od światopoglądu i charakteru poszczególnych działaczy ruchu społecznie postępowego. W oderwaniu bowiem od światopoglądu i charakteru nie można w ogóle mówić o prawidłowym kształtowaniu osobowości człowieka.

UWAŻAM, że nie popełniłem błędu nazywając zdolność sądzenia i postępowania sztuką. Sztuka bowiem, to wysoko rozwinięta umiejętność, a trafne sądzenie i stanowcze postępowanie jest właśnie taką umiejętnością, na którą nie każdy człowiek potrafi się zdobyć. Czyż można posiąść odwagę i zdolność uzasadniania w oderwaniu od światopoglądu i charakteru? Uważam, że nie. Potrzeba nawet czegoś więcej. Sztuka sądzenia i postępowania jako funkcja prawidłowego działania światopoglądu i charakteru zakłada istnienie ścisłej współzależności i współdziałania pomiędzy poszczególnymi ich elementami. Zresztą bez tej współzależności niemożliwe byłoby kształtowanie osobowości, w której światopogląd i charakter mają się zharmonizować w jeden typ społecznie postępowy uwielokrotniony dzięki poszczególnym indywidualnościom.

Trafnie określił światopogląd Władysław Seńko: „jest to usystematyzowany i powiązany w logiczną całość zespół twierdzeń wynikających z pewnego systemu podstawowego ze względu na określoną historycznie rzeczywistość i decydujących o naszym postępowaniu i naszej praktycznej postawie wobec życia" („Dziś i Jutro" nr 49 z 6.XII. 53). Mówiąc krótko — światopogląd jest zespołem przekonań, w którym rolę zasadniczą odgrywają sądy. Tworzymy je dopiero w miarę naszego rozwoju umysłowego i w miarę naszych potrzeb życiowych. Podstawą jednak dla nich muszą być prawdy wiary, gdyż inaczej światopogląd zatraciłby treść katolicką. Jeśli zaś chodzi o sposób tworzenia sądów — to kapłan społecznie postępowy powinien unikać biernego przyjmowania sądów, gdyż takie sądy przejęte z otoczenia są raczej zapamiętane, a często nawet nie dość dobrze zrozumiane. Wnikając w rzeczywistość powinien na podstawie obserwacji i doświadczenia tworzyć sądy samodzielne płynące z wewnętrznego przeświadczenia.

Takim np. sądem przyswojonym powinno być zrozumienie i ukochanie ideologii postępowej jako jedynie słusznej w obecnej rzeczywistości. Bo wtedy dopiero idea postępu stanie się funkcją rozumu, woli i uczucia a nie tylko czymś luźno umieszczonym na peryferiach świadomości. Pamiętajmy też i o tym, że sądy przyswojone cechuje pewna plastyczność i zdolność do rozwoju w wypadku napotkanych trudności. Tymczasem sądy zapamiętane cechuje sztywność i zastój, co może narazić na niemożność dopasowania ich do nowej nieprzewidzianej sytuacji. Stąd ważny dla nas wniosek: światopogląd katolicki — pamiętajmy — zawsze jest zgodny w sobie i od wewnątrz zharmonizowany tak, że nie dopuszcza do żadnego kryzysu. Jeśli natomiast dojdzie do jakiejś dysharmonii, to nie świadczy ona o kryzysie praw wiary czy też sądów zasadniczych, lecz zdarza się nieraz tak, że ktoś o miernej inteligencji wydaje sądy zgodne z podstawową ideą, ale nietrafne wobec zmiennej rzeczywistości i wtedy to powstaje owa niezgodność. Jest ona częstym udziałem katolików biernych i społecznie reakcyjnych, którzy z braku inteligencji albo ze złej woli nie umieją poradzić sobie z rzeczywistością. Dlatego kapłan społecznie postępowy starający się poznać rzeczywistość, powinien unikać takich dysharmonii, a w przeciwieństwie do nich zdobyć się na mocne przeświadczenie o bezbłędności sądów dotyczących postawy społecznie postępowej. Trzeba więc stwarzać taką sytuację i tak oddziaływać na wszystkich wątpiących, ażeby jak najszybciej osiągnęli pewność sądzenia. Jest to więc pewnego rodzaju apostolstwo myśli wobec tych, co boją się myśleć o współczesnym świecie i o naszej w nim postawie wobec Boga i ludzi.

Zastanówmy się nad problemem kształtowania charakteru, którego funkcją jest sztuka postępowania.

Charakter określamy jako pewien stały ustrój duchowy, w którym akty woli i jego działanie są zgodnie wyznaczone przez zasady i normy światopoglądu wchodzącego w skład osobowości danego człowieka. W charakterze chodzi o to, że określony sposób myślenia musi być stały. Cechą zaś szczególną charakteru jest doprowadzenie danej osoby do konsekwentnego postępowania według ustalonego kierunku pod wpływem niewzruszonych zasad światopoglądowych. Widzimy więc, że tworzenie charakteru odbywa się w zależności od uznanego światopoglądu oraz również w dużej mierze pod naporem wpływów idących od środowiska. A tam wreszcie, gdzie elementy intelektualne i wolitywne splatają się w jedną organiczną całość — mamy charakter o doskonałej budowie, której znamienną cechą jest postępowanie nie znoszące załamań i zygzaków życiowych.

Z tych paru określeń łatwo już zrozumieć, jak wielką rolę odgrywa charakter w kształtowaniu się osobowości kapłana społecznie postępowego. Kapłana, którego chcemy widzieć nie tylko „in abstracto", ale coraz częściej „in concreto" na wszystkich trudnych posterunkach duszpasterskich. Chcemy go widzieć jako nieugiętego bojownika o sprawiedliwość społeczną i jako świadomego działacza ruchu społecznie postępowego. Bo „ruch społecznie postępowy — stwierdza Wojciech Kętrzyński — potrzebuje księży, którzy by mogli ujawnić swą postawę społeczną w sposób, który by nie tylko wzbudzał zaufanie do ich najprawdziwszego powołania kapłańskiego i czystości doktrynalnej, ale jednocześnie budził szacunek dla idei społecznie postępowych".

Niemniej ważnym elementem jest silna wola polegająca na stanowczym i wytrwałym chceniu. Kapłan bez silnej woli nie będzie nigdy kapłanem społecznie postępowym, będzie chorągiewką na dachu niezdolną do utrzymania własnego kierunku. Siła woli zależy głównie od pielęgnowania motywów pobudzających i prowadzących ją do czynów. Kapłan społecznie postępowy wie dobrze, że motywy z biegiem czasu tracą na sile. Trzeba więc je nieustannie wzmacniać i ożywiać. Ale czym? Przede wszystkim ukochaniem sprawy, o którą walczymy każdego dnia. Bo dopiero wtedy charakter kapłana społecznie postępowego będzie stanowił siłę, z którą będą musieli liczyć się ci wszyscy, co czekają na naszą słabość. Stoi więc przed kapłanem społecznie postępowym trudna droga samokształcenia, droga pokonywania oporów wewnętrznych napotykanych w sobie samym, jak również oporów zewnętrznych stwarzanych przez jednostki niechętne postępowi. I na tę drogę wejść powinien każdy kapłan katolicki.

OSIĄGNIĘCIA I PERSPEKTYWY

DZIESIĘĆ lat. Wydawać by się mogło na pozór, że to okres dziwnie krótki — zwłaszcza w porównaniu z rocznicą Millenium czy Odrodzenia. A jednak minione Dziesięciolecie to okres, który swymi ramami czasowymi ogarnął tak szeroki zakres przemian, że gdyby szukać jakichś porównań — to sięgać by wypadało do wydarzeń, które dawniej historia rozsiewała na przestrzeni stuleci. Lecz nie w tym tkwi istota zachodzących w naszej epoce przeobrażeń. Epokę naszą charakteryzuje przede wszystkim szeroko pojęta wszechstronność, z jaką rewolucja wkracza we wszystkie dziedziny życia politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego.

Patos i wielkość naszej epoki wyraża się wspólną odpowiedzialnością za kształtowanie rzeczywistości. Wszyscy bez względu na wyznawany światopogląd, bez względu na taką czy inną postawę wobec rewolucji — wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za moralno - ideową treść naszego czasu, za błędy i osiągnięcia naszej epoki. Bo cechą charakterystyczną otaczającej nas rzeczywistości jest to, że intensywność zachodzących przemian — swoją obiektywną wymową — angażuje wszystkich, angażuje nawet tych, którzy według swego subiektywnego mniemania stoją na uboczu.

Najpilniejszym więc zadaniem każdego obywatela Polski Ludowej jest osiągnięcie postawy świadomego działania, determinującego pełną i twórczą współodpowiedzialność nie tylko za minione dziesięciolecie, ale i za to wszystko, co w przyszłości swym kształtem skonkretyzuje epokę.

Dowodem tej postawy świadomej współodpowiedzialności naszego narodu jest również coraz aktywniejsza działalność ruchu społecznie postępowego katolików polskich, czego wyrazem była między innymi ostatnio konferencja zorganizowana 20 lipca w Warszawie staraniem Stołecznej i Lubelskiej Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego. W sali Ministerstwa Kultury i Sztuki zebrało się ponad pięciuset duchownych i więcej niż stupięćdziesięciu działaczy świeckich — celem uczczenia Dziesięciolecia Polski Ludowej. Przewodniczył tej konferencji ksiądz proboszcz Tadeusz Romaniuk, który między innymi powiedział:

„To, co zostało dokonane na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat to nie tylko nowy rozdział naszej historii, to przełom, który wielokrotnie przyśpiesza historię narodu... Polska Ludowa otwarła i otwiera człowiekowi drogę do życia, które nabiera coraz bogatszej treści i coraz głębszego sensu.

Dziesięciolecie i na odcinku współistnienia Kościoła z Państwem Ludowym przyniosło dokonania wielkiej miary, dokonania swym znaczeniem przekraczające granice naszego kraju. Utorowana została droga w układaniu stosunków między Kościołem katolickim a Państwem socjalistycznym na zasadzie dwustronnego Porozumienia, tak, aby uszanowane było dobro narodu oraz struktura Kościoła. Utorowana została droga twórczego współistnienia światopoglądów w jednym, zwartym zespalającym się narodzie. Stało się to w znacznej mierze dzięki ruchowi społecznie postępowemu katolików polskich".

Po tym zagajeniu głos zabrał ksiądz proboszcz Jan Kornobis. wygłaszając referat pod tytułem „Niech nam rozkwita i umacnia się nasza radość i duma, nasza umiłowana Polska Rzeczpospolita Ludowa". W tym jedenastokrotnie przerywanym oklaskami przemówieniu mówca m. in. stwierdził:

„Otóż z radością i dumą stwierdzamy, że w ciągu krótkiego czasu, bo dziesięciu lat zaledwie, w warunkach niezmiernie trudnych, dokonaliśmy nieproporcjonalnie wielkiego ogromu osiągnięć. To widzi każdy i temu nikt, nawet najbardziej nieżyczliwy, nawet zajadły wróg, zaprzeczyć nie jest w stanie. Contra factum non est argumentum. Ku pokrzepieniu tedy serc, w uroczystej jubileuszowej chwili Dziesięciolecia, pokrótce zsumujemy i podkreślimy przynajmniej najważniejsze z nich.

Bez wątpienia na pierwszym miejscu każdy z nas postawi odzyskanie i umocnienie niepodległości. Nasze pierwsze dziejowe osiągnięcie. Musimy się tu cofnąć nieco wstecz, bo na to nasze pierwsze wielkie dziejowe osiągnięcie złożyły się wysiłki i krew bohaterskich żołnierzy polskich, przelana na polach bitew, krew i ofiarna służba Ojczyźnie w najcięższych, zdawało się nieraz, że beznadziejnych warunkach, wszystkich partyzantów i żołnierzy podziemia, którzy walczyli z Niemcami jak i niezłomna wola całego narodu przetrwania makabry wyniszczającej okupacji hitlerowskiej i odbudowania niepodległości, połączona z niezliczonymi bezimiennymi ofiarami mienia i wolności krwi i życia...

Z odzyskaniem niepodległości łączy się bezpośrednio nasz powrót na prastare, prapolskie Piastowskie Ziemie Zachodnie i ich niezwykle szybkie zagospodarowanie. Spełniły się za dni naszych wielowiekowe marzenia polskich serc o powrocie tych ziem do Macierzy. Ale nie o uczuciowe względy tylko tu chodzi. Włączenie Ziem Zachodnich do Polski to jakby sprostowanie kośćca naszej państwowości, naszego rozwoju dziejowego. Tam kształtowała się nasza państwowość i nasza świadomość narodowa, tam były pierwsze zręby polskiej organizacji kościelnej, stamtąd wywodzą się wielcy święci polskiego średniowiecza. Nic więc dziwnego, że Polska bez Ziem Zachodnich była okaleczona, zdeformowana...

Następny trudny co do ujęcia w cyfry i zestawienia, a bodajże ważniejszy od poprzedniego trzon naszych osiągnięć w obchodzonym Dziesięcioleciu Polski Ludowej to przebudowa społecznej struktury kraju: reforma rolna, nacjonalizacja przemysłu, uspołecznienie wielu gałęzi gospodarki narodowej, rozwój spółdzielczości, szerokie rozbudowanie ubezpieczeń i opieki społecznej, służby zdrowia, zlikwidowanie systemu kapitalistycznego, realizowanie powszechnej równości i sprawiedliwości społecznej...

10 lat temu katolicy polscy wraz z całym narodem podjęli trud budowy ustroju sprawiedliwości społecznej. Nie wszyscy jednak znaleźli się wówczas w szeregach budowniczych Polski Ludowej. Ale dla wielu z nas, nasze błędy, które jednak zdołaliśmy przezwyciężyć, to zarazem nasza droga do Polski Ludowej. Błędy były, ale jak to już raz stwierdziliśmy, intencje nasze były czyste. Oczywiście byli i tacy katolicy, zarówno duchowni jak i świeccy, którzy świadomie stanęli w poprzek liniom rozwojowym naszego narodu. Ogromna jednak większość pragnęła zawsze dobra i tylko dobra swojej Ojczyzny, bo póza naturalną miłością swojego kraju, dla katolików jest to zarazem imperatyw religijny, a według nauki Kościoła IV przyka-

JEAN MARIE DOMENACH

laureatem nagrody im. Wł. Pietrzaka

JAK już informowaliśmy naszych czytelników Jury nagrody im. Wł. Pietrzaka w składzie: ks. dr Marian Michalski, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego — przewodniczący, ks. dr Józef Keller, prof. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, dr Kalikst Morawski, prof. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Witold Jankowski red. Słowa Powszechnego, Andrzej Krasiński red. „Dziś i Jutro", Zygmunt Lichniak, krytyk literacki, Mikołaj Rostworowski, poeta — przyznało w tym roku specjalną nagrodę redaktorowi naczelnemu francuskiego miesięcznika katolickiego „Esprit" — Jean Marie Domenachowi.

*

Jean Marie Domenach urodził się w Lyonie w 1922 r. Rozpoczęte przez niego studia humanistyczne przerwała działalność w Ruchu Oporu. W okresie od 1941 do 1943 r. pracuje z grupą młodzieży chrześcijańskiej, która wydawała „Cahiers de notre Jeunesse" i walczyła przeciwko wpływom nazistowskim wśród młodzieży francuskiej.

W sierpniu 1943 r. J. M. Domenach bierze udział w partyzantce w departamencie Vercors i uczestniczy w działalności „Oddziałów Ochotniczych", zajmujących się szkoleniem politycznym i obywatelskim partyzantów zgrupowanych w Alpach. Walkę przeciwko Niemcom zakończył jako partyzant w okolicy Tarn.

Emanuel Mounier, którego Domenach znał od kilku lat, zaproponował mu w 1946 r. objęcie stanowiska sekretarza redakcji w miesięczniku „Esprit", Mianowany następnie naczelny redaktorem „Esprit" pozostaje na tym stanowisku do chwili obecnej.

W 1950 r. Jean Marie Domenach opublikował pracę pt. „Propaganda polityczna". Zawsze żywo interesował się wszystkimi ważniejszymi zagadnieniami, poruszającymi opinię francuską, zwłaszcza zaś problemy ucisku kolonialnego w Madagaskarze i w Afryce Północnej.

W październiku 1951 r. wraz z Michel Brugnier rzucił hasło do walki z remilitaryzacją Niemiec zachodnich. Apel ten podpisany przez szereg osobistości francuskich dał początek kampanii prowadzonej potem bez wytchnienia przeciwko projektowi „armii europejskiej".

Z inicjatywy komitetu francuskiego powołanego dla pokojowego rozwiązania zagadnienia niemieckiego, którego duszą był Domenach i Brugnier, została zwołana w listopadzie 1952 r. międzynarodowa konferencja w Berlinie. Od tego czasu Domenach nie zaprzestał w swoich artykułach i na wielu zebraniach, które odbywały się zarówno we Francji, jak i zagranicą wskazywać na niebezpieczeństwo, płynące z remilitaryzacji Niemiec zachodnich dla narodów europejskich i dla pokoju światowego, ukazując równocześnie możliwości pokojowego rozwiązania tego problemu w drodze pertraktacji.

Dnia 17 lipca w Warszawie w lokalu redakcji „Dziś i Jutro" odbyło się wręczenie specjalnej nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka Jean Marie Domenachowi. W uroczystości tej oprócz członków jury oraz żony i dzieci laureata udział m. in. wzięli: przewodniczący Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju, znakomity pisarz Jarosław Iwaszkiewicz, redaktor naczelny „Dziś i Jutro" — Dominik Horodyński, redaktor naczelny miesięcznika „Życie i Myśl" — Janina Kolendo, red. Wojciech Kętrzyński, Bolesław Piasecki, redaktor naczelny „Słowa Powszechnego" — Zygmunt Przetakiewicz, sekretarz Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Ogólnopolskim Komitecie Frontu Narodowego — Ryszard Reiff, kc. Mieczysław Suwała.

Wręczenia nagrody dokonał Jan Dobraczyński mówiąc m. in.:

„Pański wkład w dzieło pokoju jest znany i ten wkład właśnie przede wszystkim został przez jury nagrodzony. Ale oceniając w Panu bojownika o sprawę pokoju i to bojownika-chrześcijanina widzimy w Nim także przyjaciela naszego narodu, narodu, który wiele przecierpiał, ale który także wiele wysiłku włożył w odmianę swego życia. Widzimy w Panu, Drogi Przyjacielu, tę Francję, która zawsze była i jest droga sercu każdego Polaka, Francję niby daleką a tak nam bliską. Proszę wraz z nagrodą przyjąć zapewnienie tych naszych nigdy nie zmieniających się uczuć".

Następnie w imieniu jury głos zabrał red. „Dziś i Jutro" Andrzej Krasiński, który powiedział m. in.:

„Jury podejmując decyzję przyznania nagrody J. M. Domenachowi pragnęło podkreślić szczególne znaczenie, jakie wszyscy Polacy przypisują problemowi niemieckiemu. Postanowienie jury podkreśla tylko głębokie uznanie całej opinii polskiej dla podejmowanych w zachodniej Europie wysiłków zmierzających do pokojowego uregulowania tego kluczowego zagadnienia.

Szczególną zasługą Jean Marie Domenacha i tych wszystkich, którzy wraz z nim podjęli trudną i ofiarną walkę przeciwko remilitaryzacji, jest to, że nie ograniczają się oni do ukazania światu niebezpieczeństw, ale również — i przede wszystkim — poszukują pozytywnych rozwiązań w oparciu i w braterskiej łączności ze wszystkimi pokojowymi siłami Niemiec.

Nie jest sprawą przypadku, że J. M. Domenach ten tak aktywny przeciwnik remilitaryzacji Niemiec zachodnich i E. V. G. jest równocześnie wypróbowanym przyjacielem Polski. Koncepcja bowiem tzw. Wspólnoty Europejskiej nie jest niczym innym jak próbą skłócenia i zasiania nienawiści wśród narodów europejskich. Pod pozorem zjednoczenia sześciu państw zachodnich polityka USA prowadzi w istocie do rozdarcia tej Europy na dwa wrogie bloki. Najskuteczniejszym przeto środkiem walki z tą „fałszywą Europą" — jak ją nazwał Domenach w tytule jednego ze swych artykułów — jest nawiązanie nici przyjaźni i łączności ze wszystkimi narodami europejskimi.

Mimo usiłowań polityki amerykańskiej, która za pośrednictwem zimnej wojny starała się oddzielić Polskę od reszty Europy, naród polski posiada silne poczucie łączności i przyjaźni z Francją. Są mu też szczególnie bliscy ci spośród Francuzów, którzy jak Domenach rozumieją potrzebę łączności i przyjaźni i konsekwentnie przyczyniają się do ich pogłębienia".

Następnie, głęboko wzruszony, zabrał głos sam laureat. Przemówienie jego podajemy obok.

Przemówienie Jean Marie Domenacha na uroczystości wręczenia Mu nagrody im. W. Pietrzaka

PRAGNĘ przede wszystkim podziękować członkom jury, jego przewodniczącemu, wszystkim obecnym, jak również i tym nieobecnym, którzy przesłali mi depesze gratulacyjne. Uważam to za szczególny zaszczyt, że nagroda została mi wręczona przez pisarza, którego niektóre dzieła są mi znane.

Gdybyśmy byli na zebraniu akademickim powiedziałbym, że nie zasługuję na przyznane mi odznaczenie. Lecz jesteśmy wśród przyjaciół i wyznam szczerze, że przyjmuję tę nagrodę jako dowód waszego uznania dla walki prowadzonej przeze mnie wraz z wielu towarzyszami; po tylu trudach, tylu zebraniach, tylu niepewnościach, sprawiacie mi wielką radość i dajecie mi możliwość odpoczynku. Początki naszej pracy, przed czterema laty, nie były łatwe. Granice zamykały się przed nami. Pewni ludzie — którzy teraz już zrozumieli — obrzucali nas obelgami, a nawet zadawali nam ciosy.

Jeśli liczni działacze chrześcijańscy — katolicy i protestanci — postanowili zwalczać, wraz z bojownikami o pokój, remilitaryzację Niemiec, uczynili to przede wszystkim z pobudek moralnych: przykład Monachium nauczył nas wszystkich, że naród zdradzający swych przyjaciół przygotowuje swą klęskę; przekonaliśmy się również, że naród, który zdradza swą historię traci prawo do przyszłości. Naszymi przyjaciółmi są ci demokraci niemieccy, którzy przed nami jeszcze byli prześladowani przez Hitlera. Naszymi przyjaciółmi jesteście Wy, Polacy, którzyście bardziej niż my ucierpieli od barbarzyństwa niemieckiego. Stwierdzam to w imieniu wszystkich moich kolegów: angażując się w walkę przeciw remilitaryzacji Niemiec i przeciw „fałszywej" Europie, pomyśleliśmy przede wszystkim o Was. Historia nie jest prostym splotem sił i interesów; rozgrywa się ona przede wszystkim na płaszczyźnie głębokiej lojalności. Gdy proponują nam zmobilizowanie chrześcijańskiej Europy „przeciw bolszewizmowi" odpowiadamy „nie", pozostajemy bowiem wierni sprawie, za którą walczyliśmy i wierni przyjaciołom, z którymi walczyliśmy.

Nie zapominamy, że ta rzekomo „chrześcijańska Europa" sprzeniewierzyła się sobie, stwarzając sprzeczności i budząc nienawiść pomiędzy narodami i rasami. Europa ta umarła już, pogrzebana pod gruzami getta, pod milionami trupów z Oświęcimia. Europa ta nie była chrześcijańską.

Mamy wiele słusznych powodów politycznych, aby przeciwstawiać się utworzeniu armii europejskiej. powodów, których nie będę tutaj wyjaśniał, a które są wspólne wszystkim walczącym w obronie pokoju i ojczyzny. Jednakże, jako katolicy mamy jeszcze powody szczególne! Nie chcemy Europy, zaczynającej od podziału Europy, nie chcemy Europy, która oddziela katolików z Zachodu od katolików ze Wschodu, która oddziela Kościół od olbrzymich mas, walczących o swą godność osobistą i narodową.

Pomyślmy o milionach tych ludzi, którzy podjęli walkę, którzy łakną chleba i sprawiedliwości. Czy w chwili, gdy ludzkość zdaje się dążyć do pełnego rozwoju, my, katolicy europejscy mamy wtłoczyć naszą religię w ramy ustroju politycznego i systemu gospodarczego, który nie ma najmniejszego prawa do nazwy — chrześcijański? Gdy miliony ubogich żądają sprawiedliwości, nie możemy, my uczniowie Boskiego Biedaka, odpowiedzieć na ich żądania groźbą bomby atomowej, ani tchórzliwym powoływaniem się na ustrój, który już zbyt wiele nienawiści i ruin rozsiał w Europie.

Wręczenie tej nagrody zbiega się z dziesięcioleciem, które jest nam również drogie. Przed dziesięciu laty naród francuski powstawał przeciw nazistom. Byłem wówczas wraz z moją żoną w partyzantce na południu Francji i rozpoczynaliśmy właśnie nasz ostatni atak. Przed dziesięciu laty rozpoczynało się wyzwalanie waszej ojczyzny i wielu z Was było również w lasach. Nie znaliśmy się jeszcze, lecz już wówczas tworzyliśmy razem Europę. Czyż moglibyśmy się zgodzić na Europę, która utworzyłaby się bez Was i przeciwko Wam?

Alternatywą fałszywej Europy jest Europa, którą tworzymy razem, Europa sięgająca do tradycji wszystkich walk przeciw uciskowi i wyzyskowi, a zwłaszcza walk ostatnich o wyzwolenie spod okupacji faszystowskiej, Europa przeszłości, lecz również i przyszłości, która we wspólnie zapewnionym pokoju, szukać będzie drogi do zjednoczenia narodów, kultur i ludzi.

Poza wielkim zaszczytem i wielką radością, których doznałem osobiście, takie właśnie znaczenie przypisuję nagrodzie, przyznanej Francuzowi przez jury złożone z katolików polskich. Chcieliście dać dowód, że ludzie dobrej woli, żyjący w odmiennych ustrojach, mogą pozostać sobie bliscy, żywić wspólne nadzieje, walczyć wspólnie o pokój i szczęście. Za to również, drodzy przyjaciele, składam Wam podziękowanie.

Jean Marie Domenach

---

zanie Dekalogu obejmuje swoim zasięgiem także i nakaz miłości matki — Ojczyzny.

Nasze błędy! Bez wątpienia były nie małe. Nie od razu wszyscy z nas zorientowali się, że stare formy życia minęły bezpowrotnie, że ustrój kapitalistyczny obciążył nas i w sposobie myślenia i w sposobie życia...

Najwięcej oporów budził fakt, że to nowe nieśli ludzie o światopoglądzie odmiennym zasadniczo od światopoglądu katolickiego. Wielu z nas przeżywało i obawy i nieufności — jak się stosunki ułożą, czy możliwe będzie współżycie.

To wszystko nie mogło być zresztą nagle, bo byłoby sztuczne, nieszczere, brakłoby mu podstaw rzetelnych w przemianie psychiki, w przeżyciu intelektualnym nowych form życia, w pewnym doświadczeniu i utwierdzeniu się w pozytywnej ocenie zachodzących przemian. Wymagało to czasu. Możemy jednak dziś powiedzieć bez obawy, przesady, czy samochwalstwa, że stosunkowo szybko przestawiliśmy się na nowe warunki życia i na nowe formy ustrojowe i co ważniejsze przekonaliśmy się do nich. Powstaje ruch społecznie postępowy wśród katolików polskich, początkowo jako ruch pionierski, ale szybko trafia on do szerokich sfer katolickich, w ciągu kilku zaledwie lat staje się ruchem masowym.

Na terenie naszego Kraju dokonywuje się spotkanie transcendentnego w stosunku do historii Kościoła katolickiego z rewolucją marksistowską budującą nowy świat postępu i sprawiedliwości społecznej. Przełamanie tych zdawałoby się nie do pokonania barier podpisanie Porozumienia między Kościołem i Polską Ludową, to osiągnięcie i wkład narodu polskiego w Nowe, już nie tylko na skalę krajową, polską, ale na skalę światową. Musimy bowiem pamiętać, że jest to pierwsze w historii ofi-

cjalne a dobrowolne porozumienie Kościoła katolickiego i państwa ludowego, co do wzajemnego poszanowania i platformy współżycia. Może to wszystko nie jest jeszcze idealne. Ale sam fakt istnienia i poszanowania przez obydwie strony tego Porozumienia, ostatnio odnowionego i potwierdzonego (28.IX 1953 r.) jest wydarzeniem na skalę historyczną, jako dowód możliwości współistnienia i współpracy przy zachowaniu własnych założeń światopoglądowych...

Jesteśmy wraz z całym narodem we Froncie Narodowym. Jesteśmy z nim związani nie koniunkturalnie, ale najistotniej, bo z umiłowania tego, co nam drogie — naszej Ojczyzny.

Jednym z największych dóbr człowieka jest pokój. Katolicy polscy szczerze włączyli się do akcji pokojowej. Należy powiedzieć więcej: katolik, oczywiście katolik dobry, konsekwentnie realizujący nakazy swojej wiary jest z natury swojej zwolennikiem i bojownikiem pokoju. Pax vobis — pokój wam, pozdrowienie Chrystusa Pana nie jest dla katolika frazesem...

Jesteśmy wraz z całym narodem w akcji o podniesienie wydajności w rolnictwie — jesteśmy znowu z głębokiego przekonania o słuszności tych wysiłków o obfitość chleba dla siebie i dla naszych bliźnich, podniesionego do potęgi przez umiłowanie naszej polskiej urodzajnej ziemi, która nas karmi jak matka najlepsza...

I jest jeszcze jeden nasz wielki wkład w rozkwit, tak w już dokonany jak i w przyszły, naszej Ojczyzny, czynnik nieuchwytny w cyfry, w zestawienia statystyczne, a przecież niezmiernie ważki. Jest nim umoralniające oddziaływanie Kościoła i konkretny wkład moralności katolickiej w życie, w pracę ludzi wierzących. Dobry katolik, to dobry obywatel, dobry urzędnik, dobry nauczyciel, dobry inżynier, technik, robotnik, gospodarz wiejski, dobry członek spółdzielni produkcyjnej, dobry ojciec, mąż, ofiarny i pełnowartościowy członek społeczeństwa. Wszak jego wiara każe mu w Ojczyźnie widzieć matkę...

Obchodzone dzisiaj uroczyście Dziesięciolecie jest okazją do podsumowania tych dotychczasowych naszych pozytywnych i bez wątpienia wielkich osiągnięć, do wykazania twórczych inspiracji i osiągnięć naszego katolickiego światopoglądu. Ale zarazem jest to sposobność do stwierdzenia, że na dotychczasowych osiągnięciach nie zamierzamy poprzestać, że wolą naszą i naszym obowiązkiem jest wzmóc do granic możliwości wysiłek, aby katolicki ruch społecznie postępowy jak najwydatniej przyczynił się do dobra i rozkwitu naszej Ojczyzny Ludowej, odrobił dawne społeczne zaniedbania katolicyzmu, ujawnił i uaktywnił te wszystkie twórcze moce, jakie tkwią w światopoglądzie katolickim".

Po przemówieniu księdza Jana Kornobisa następny referat — będący próbą podsumowania osiągnięć i nakreślenia perspektyw ruchu społecznie postępowego katolików w Polsce Ludowej w oparciu o dotychczasowe doświadczenie — wygłosił red. Władysław Seńko.

Na zakończenie konferencji ksiądz Stanisław Owczarek odczytał projekt depeszy do Przewodniczącego Prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego — Bolesława Bieruta, następującej treści:

„Duchowni i świeccy katoliccy działacze Frontu Narodowego zgromadzeni w Warszawie na konferencji poświęconej uczczeniu Dziesięciolecia Polski Ludowej, zwracają się do Kierownictwa Frontu Narodowego i do Ciebie, Obywatelu Przewodniczący, z gorącymi słowami wdzięczności i uznania za twórczą służbę szczęściu i wielkości naszego narodu.

Pod mądrym i ofiarnym kierownictwem klasy robotniczej lud polski zespolony we Froncie Narodowym w ciągu 10-ciu lat dzielących nas od wyzwolenia Ojczyzny przez Armię Radziecką i Wojsko Polskie spod hitlerowskiej okupacji — wspólnym wysiłkiem zarówno obywateli wierzących jak i niewierzących — zapewnił Polsce godne, historycznie uzasadnione miejsce pośród przodujących cywilizacyjnie narodów Europy.

W tak uroczystej chwili, przedstawiciele ruchu społecznie postępowego katolików polskich stwierdzają wobec Ciebie, Obywatelu Przewodniczący, swoją niezłomną gotowość i wolę jeszcze aktywniejszego udziału w mobilizowaniu wierzących mas dla umocnienia jedności narodu polskiego stającego się socjalistycznym i spotęgowania jego wkładu w zwycięskie dzieło rozkwitu oraz obrony cywilizacji i pokoju między narodami".

Ta lipcowa konferencja była szczególnie dogodną okazją, by mówić o zadaniach i obowiązkach katolików wobec narodu. — Nie trzeba nikogo przekonywać, że Dziesięciolecie Polski Ludowej, które dało nam tak wielkie osiągnięcia w podniesieniu całej gospodarki i kultury narodowej — nie jest jeszcze ukoronowaniem naszych wysiłków. Stoją przed nami ciągle żywe i aktualne zadania uwydatnione w programie Frontu Narodowego. Trzeba natomiast uprzytomnić sobie, że na nas właśnie ciąży odpowiedzialność uświadamiania ludziom pozostającym w naszym zasięgu — celów i motywacji ich świadomego wkładu we współczesność.

Światopogląd katolicki dzięki swym niezmiennym wartościom może inspirować ludzi do twórczej pracy w każdej epoce i w każdych warunkach historycznych. Ujawnienie tej siły winno być skuteczną formą apostolatu w naszych czasach. Na tym polega twórcza rola ruchu społecznie postępowego katolików w budowaniu nowych form życia i w tym ujawniać się będzie nasza troska i miłość ojczyzny. T. P.

Z depesz gratulacyjnych z okazji Dziesięciolecia

„Granica między naszymi oboma narodami jest granicą pokoju"

Z okazji dziesięciolecia Polski Ludowej wicepremier NRD i Przewodniczący Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej, OTTO NUSCHKE przesłał na ręce ks. prof. dr Jana Czuja, Przewodniczącego Komisji Duchownych i Swieckich Działaczy Katolickich przy Froncie Narodowym, depeszę gratulacyjną następującej treści:

WIELCE Szanowny Księże Profesorze! Z okazji dziesiątej rocznicy wyzwolenia Polski przez oddziały armii radzieckiej chciałbym w imieniu Chrześcijańskiej Unii Demokratycznej przekazać dla Prezydium Komisji Duchownych i Swieckich Działaczy Katolickich przy Komitecie Frontu Narodowego Polski Ludowej najserdeczniejsze pozdrowienia i życzenia równie wielkich osiągnięć, jakich naród polski w ciągu tych dziesięciu lat odbudowy dokonał. W tym dniu myślimy o wielkim przewinieniu faszyzmu, które spadło na naród niemiecki przez wciągnięcie naszego polskiego sąsiada w nieludzką wojnę. Najwyższym obowiązkiem narodowym naszego pokolenia jest przeciwstawić się zrodzonemu z chęci odwetu dążeniu do nowej agresji; przezwyciężyć szerzone w pewnej części Niemiec tendencje rewizjonistyczne, pogłębić dobrosąsiedzkie stosunki między naszymi oboma narodami. W tym dniu uważamy dla nas za sprawę honoru podkreślić to, co zawsze przyrzekaliśmy Wam, naszym przyjaciołom, narodowi polskiemu: granica między naszymi oboma państwami jest granicą pokoju. Nie może stać się źródłem nowego przelewu krwi. Z wielkim zainteresowaniem demokraci chrześcijańscy Niemiec obserwują, jaki jest udział społeczeństwa polskiego w odbudowie nowej Polski. Wielkie osiągnięcia, jakie w ostatnim czasie ma za sobą Komisja Duchownych i Swieckich Działaczy Katolickich, są dla nas bodźcem do wzmocnienia naszej walki o pokój i nowe Niemcy. W tym dniu myślimy z przerażeniem o wielkich ofiarach, jakie poniósł naród polski w walce przeciwko faszyzmowi. Myślimy o trzech tysiącach katolickich kapłanów, którzy w walce przeciwko faszyzmowi musieli poświęcić życie. Czyńmy wszystko, aby nasze obydwa narody w ścisłej przyjaźni wzajemnej i w przyjaźni ze Związkiem Radzieckim szły nową drogą ku pokojowej przyszłości".

OTTO NUSCHKE
Przewodniczący Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej

Wspólne nadzieje

W dniu święta narodowego redaktor naczelny francuskiego miesięcznika katolickiego „Esprit" JEAN MARIE DOMENACH nadesłał następujące życzenia:

NARODOWI polskiemu z okazji jego święta życzę tego samego, co i memu własnemu narodowi, ponieważ zawsze byliśmy solidarni w niebezpieczeństwie i łączyły nas zawsze wspólne nadzieje.

Obyśmy mogli w najbliższym czasie zapobiec remilitaryzacji Niemiec Zachodnich, remilitaryzacji, która niosąc ryzyko wojny, zagrażałaby niepodległości Polski i wolności Francji. Oby właściwa koncepcja europejska zapewniła bezpieczeństwo naszym krajom i umożliwiła zacieśnienie łączących nas więzów gospodarczych i kulturalnych.

Składając wam życzenia chciałbym jednocześnie podkreślić, że podjęliśmy akcję, w której bierze udział wielu Francuzów, a wśród nich działacze chrześcijańscy. Ludzie ci mają pełną świadomość, że walczą nie tylko o swoją własną, lecz także o naszą wspólną sprawę.

Rozwijając naszą działalność w obronie pokoju, dla dobra wszystkich ludzi, prowadzimy ją przede wszystkim z myślą o narodzie polskim, który tyle wycierpiał, tak dzielnie walczył i który ma pełne prawo, aby korzystać z dobrodziejstw prawdziwego pokoju".

JEAN MARIE DOMENACH

MIKOŁAJ BIESZCZADOWSKI

PIEŚNIARZ ANDALUZYJSKI

Trzeciego sierpnia 1936 r. zginął na ulicach Grenady zamordowany przez faszystów jeden z najwybitniejszych poetów Hiszpanii...

Spośród trzech zbiorów wierszy Federico Garcia Lorki, które składają się bez mała na całość twórczości poetyckiej, najbardziej cenione, najlepiej znane i najczęściej tłumaczone na inne języki jest „Romancero Gitano".

Wiersze zawarte w tej książce były jak świeży posiew we współczesnej liryce zachodnio-europejskiej, liryce znużonej pogonią za nowościami formy, coraz mniej zrozumiałej i szczerej. Dlatego „Romance Cygańskie" Lorki powitano w środowiskach intelektualnych jak rewelacje, szerokie rzesze czytelników przyjęły ją jak zdrowy pokarm.

Sekretem uroku tych wierszy jest dawno już nie słyszany w poezji ton; czysty i harmonijny ton prawdziwej miłości do ziemi ojczystej, do ludzi, do przyrody. Lorce udało się zbudować w „Romancach" swój własny świat poetyckiego piękna, który jest równocześnie bliski i zrozumiały dla wszystkich, którzy się doń zbliżą.

Lorca osiąga ten efekt w sposób dwojaki: przez nawiązanie do najlepszych tradycji poezji ludowych i przez wzbogacenie tych tradycji zdobyczami poezji współczesnej.

Ballada, romance, tren żałobny, pieśń kościelna — formy zdawałoby się już dawno odrzucone przez poetów współczesnych Lorca przyodziewa w uderzająco świeżą szatę poetycką, nadaje im melodię i rytmikę o nieodpartej sugestywności.

Tę samą dwoistość dostrzec można i w tematyce utworów. Motywy będące tworzywem lirycznym wszystkich czasów takie jak nostalgia, śmierć, magia nocy księżycowej, sąsiadują i łączą się z motywami na wskroś nowymi, takimi jak lęk przed hiszpańską gwardią cywilną symbolizującą tu przemoc polityczną, żywioł cygański reprezentujący pierwiastek uwielbianej przez poetę wolności i swobody.

Ta zdolność przetapiania odwiecznych tradycji w żywą teraźniejszość, manifestowana na przestrzeni całego zbioru, zjawia się w każdym przekroju tej twórczości, w obrazowaniu poetyckim w doborze rytmiki, w samym języku, gdzie słowa dawne i czcigodne spotykają się ze słowami nigdy przedtem nie słyszanymi, zrodzonymi z czystej wyobraźni poety.

„Romance cygańskie" Garcia Lorki są dziełem doskonałym, ale popularność tej właśnie książki usunęła w cień pozostałe nie mniej ciekawe a tak różne od „Romanc", że wydaje się, jakby spłynęły spod innego pióra i jakby wykołysało je inne serce.

„Poemat o pieśni andaluzyjskiej" napisany w okresie wczesnej młodości poety, opublikowany dopiero w dziesięć lat później, już po „Romancach cygańskich", nie znalazł łaski u krytyków. Dostrzeżono w tej książce tylko zbiór szkiców czy etiud poetyckich — przyznano jej wartość zapowiedzi i zwiastowań późniejszych osiągnięć.

Za takim sądem zdaje się przemawiać szczupłość tomu, zwiewność i wiotkość samych wierszy, ich charakter impresyjny i mglisty. Złożone nieraz z kilku zaledwie linijek, o krótkim oddechu, utwory te przypominają istotnie notatnik pomysłów twórczych, które czekają na ostateczne skrystalizowanie. Jest w gatunku „poematów andaluzyjskich" coś, co każe myśleć o preludiach Klaudiusza Debussy'ego. Przecież tematem podstawowym tych wierszy jest właśnie muzyka — tości akustycznych Lorca przyjął za własny. Natomiast ultraizm, hiszpańska odmiana europejskich kierunków awangardowych, narzuci mu zainteresowanie stroną formalną wierszy. Chęć eksperymentowania słowem. Efekty, które na tej drodze osiąga, zdumiewają ostrym czasem, aż bolesnym pięknem.

Ale te walory poematów andaluzyjskich zdobycze i wartości wydo prostych ludzi swego kraju, miłość wolności, żal nad jej pognębieniem.

Na łysej górze Męka Pańska
Nad wodą ze światła wieczny
Ogrojec Oliwny
O wiosko zatracona w
andaluzyjskim piasku
Wezbrana łkaniem.

Dlatego też tak wiele tu rekwizytów kultu religijnego, rekwizytów z uporem poszukującego nietkniętych jeszcze sposobów ekspresji.

Dlatego „Poema del Cante Jondo" wbrew sądom krytyki hiszpańskiej, wbrew temu, co o nich powiada choćby Guillermo de Torre, są pozycją odrębną w dziele Lorki, pozycją ważną dotąd w pełni i sprawiedliwie nieocenioną.

Inny niż w „Poemacie andaluzyjskim", inny niż w „Romancach" ryzyjskich". Budzi się poeta gniewu i trwogi. Przeraża go obcy świat, obcy we wszystkim, co tylko z... i bliskie jest człowiekowi. Kamienne mrowisko ogołocone z powietrza i światła zamiast świetlistych przestrzeni Andaluzji — zmechanizowana, oparta na prawach bezwzględnej przemocy i cynicznego wyzysku cywilizacja amerykańska zamiast swobodnego cygańskiego życia w Granadzie. Nigdy przed tym Lorca nie zdobył się na oskarżenie tak namiętne, na sąd tak odważny i surowy. Rzuca przekleństwo na ziemię, która wydała nowoczesne piekło i na ludzi, którzy mu sprzyjają.

Pluję wam prosto w twarz
Niech słyszy mnie inna część świata
. . . . . .
Oskarżam nikczemny spisek
Tych skamieniałych kantorów.

Ale ta pasja wyraża się poprzez obrazy zmącone, przypominające koszmary gorączkowego snu. Emanuje z nich potęgujący się nastrój grozy. Językiem podobnym do bredzenia chorego Lorca opowiada swe doświadczenia. Jest tutaj najbliższy osiągnięciom nadrealistów — czerpie obficie z ich doświadczeń.

Jesteśmy przecież w kręgach piekieł, gdzie rządzą złe pasje, skąd wieje chłód śmierci. Słowa nabierają odblasków apokaliptycznych. Zamiast ludzi jawią się korowody zwierząt i owadów, zamiast przyrody chaotyczne konstrukcje budowane ze strzępów betonu, żelaza i ciemności. Już same tytuły wierszy — „Bezsenne miasto", „Zaproszenie do śmierci", „Pejzaż tłu...u wstrząsanego torsjami" sugerują nastrój grozy. Jedynym elementem promieniejącym uczuciem naprawdę ludzkim w złym świecie, są Murzyni, którzy odgrywają tu rolę podobną do tej, jaką mieli Cyganie z poprzednich okresów Lorki — i właśnie Murzynom, ich pieśniom i folklorowi poświęca Lorca najbardziej wzruszające poematy z całego tomu.

O wierszach z ostatniego tomu wielkiego poety, poza szczupłymi kręgami postępowych intelektualistów Zachodu nie wie prawie nikt. Pozostają omal nieznane, jeśli porównać je z rozgłosem, jakim cieszą się Romance. Przyczyną tego będzie ich skomplikowana forma, nieprzeniknikliwość wizji poetyckich tak wielka, że graniczącą z niezrozumiałością, a jednak trud wniknięcia w te utwory opłaca się bardzo, pozwala przeżyć jedną z najdziwniejszych kreacji poetyckich wywodzących się z nurtów poezji buntowniczej. Zasługują te wiersze na gruntowną i wnikliwą analizę i godne są, aby znalazły tłumacza, który by przyswoił je naszemu językowi.

Kiedy przeglądam trzy zbiory Federico Garcia Lorki tak zadziwiająco różne a stanowiące jednak spoistą całość, sylwetka wielkiego Hiszpana rysuje się przede mną coraz pełniej. Dostrzegam w nim klasyka poezji współczesnej. Jego wiersze nie mają nic w sobie z kurzu bibliotek i nic z nudy oficjalnych pochwał drukowanych w podręcznikach literatury. Są żywą poezją.

FEDERICO GARCIA LORCA — *tłum. MIKOŁAJ BIESZCZADOWSKI*

WIZERUNEK PETENERY

DZWON

Na pożółkłej
wieży
skarży się dzwon.

W złotej
wichurze
rozkwitają dzwonienia.

Na pożółkłej
wieży
milknie dzwon.

A wiatr buduje z prochu
Srebrne dzioby okrętów.

DROGA

Stu jeźdźców w ciężkiej żałobie
dokądże mknie?
Pod nachylonym niebem
z pomarańczowych drzew.
Do Sewilli, Kordoby nie dojadą
I do Granady, co tęskni
za morską wodą.
Konie jak sen pierzchliwe
Przywiodą ich
w labirynt cmentarnych krzyży
gdzie śpiew się tli.
Siedem jest ostrych gwoździ —
Dokądże gna
Stu jeźdźców andaluzyjskich
przez wonny sad?

SZEŚĆ STRUN

Gitara
każe skarżyć się snom
i łkanie dusz potępionych
płynie z okrągłych jej ust.

I niby pajęczyca
gwiazdę wysnuwa,
aby zagarniać westchnienia
płynące z czarnej głębi
drewnianych studzien.

ŚMIERĆ PETENERY

W białym domu umiera
Pokusa i zguba młodzieńców
sto koni pędzi cwałem,
ale pomarli ich jeźdźcy.
Pod spalonymi gwiazdami
wszytymi w muślin welonu
mienią się fałdy jedwabiu
na jej miedzianych ramionach.
Sto koni biegnie cwałem
ich jeźdźcy już pomarli.
Ciemność rozległa i ostra
mknie z mrocznych horyzontów
i cichy pobrzęk gitary
rwie się.

NISKI GŁOS

Ach, Petenera — Cyganka
Ach, Petenera.

Nie pójdą za twoim pogrzebem
słodkie dziewczęta
co dla mrącego Chrystusa
piękne swe pukle chylą
i podczas świętej procesji
najbielsze noszą mantyle.
Pójdą za twoim pogrzebem
ludzie posępni,
ludzie z sercem na czole
przeciągną jęcząc
poprzez ulice Sewilli.

Ach, Petenera — Cyganka
Ach, Petenera.

DE PROFUNDIS

Oto stu zakochanych
śpi już na wieki wieków
głęboko w sypkiej ziemi —
Przez Andaluzję biegną
długie czerwone drogi,
w Kordobie rosną oliwki,
jest gdzie postawić sto krzyży,
aby mówiły o nich.
Oto stu zakochanych
śpi już na wieki wieków.

JĘK

Na pożółkłej
wieży
jęczą dzwony.

W złocistej
wichurze
dzwonienia się niosą.

Chodzi po drogach śmierć
uwieńczona zwiędłymi
kwiatami pomarańczy.

Śpiewa i śpiewa
swą pieśń,
gra na zbielałej gitarze,
śpiewa, śpiewa i śpiewa.

Na żółtych wieżach
milkną dzwony.

Wiatr buduje z prochu
okrętów srebrne dzioby.

JERZY KRZYSZTOŃ

„PŁACZ UKOCHANY KRAJU"

Alan Paton

TA książka narodziła się z cierpienia. Słowa w niej drżą odmierzając skalę ludzkiego bólu, milkną, gdy ból przekracza pojemność słów. Ale jeśli z ciężkim sercem wczytamy się w tę książkę, pisaną w imieniu ludu, któremu odmówiono prawa do życia — nie znajdziemy w niej rozpaczy. Poprzez cierpienie przebija nikłe chwilami ale zawsze żywe tętno nadziei. Jest bowiem w tej książce coś, co nie daje przystępu rozpaczy — jest głęboka wiara w człowieka, który przezwycięża czas poniżenia, przezwyciężył czas pogardy. Bohaterem tej książki jest czarny lud Afryki, o nim właśnie, jego tragedii mówi ta książka.

*

„Bo w kraju tym, który jest krajem lęku, sędzia musi być nieulękniony, aby sprawiedliwość wymierzyć zgodnie z prawem".

Jest jedno prawo, któremu w literaturze sprzeniewierzyć się można tylko kosztem spodlenia literatury — prawo pisarskiego sumienia. Każdy gwałt zadany temu prawu, każde uchylenie się spod tego prawa zaraża dzieło fałszem. To sumienie pisarza dyktuje mu konieczność świadczenia prawdzie. To sumienie pisarza wymaga od niego tej jakże trudnej nieraz odwagi, tym większej, im bardziej w skutkach swych przeciwstawnej pojęciom i interesom środowiska, w którym pisarz wyrósł. Powieścią swoją Alan Paton dowiódł, że nie sprzeniewierzył się prawu pisarskiego sumienia, że miał dość odwagi na to, by zło ukazać i osądzić. Nie bez racji podkreślamy tu tę odwagę pisarza, skoro w kraju jego nielada odwagi potrzeba, by uścisnąć rękę czarnemu człowiekowi; normalny ten gest powitania nabiera bowiem charakteru manifestacji solidarności ludzkiej, a jak wiemy, solidarność ta została niepisaną tradycją zakazana. Być może rasistowski rząd dr Malana zatwierdzi tę tradycję ustawowo, jako że solidarność winna być przywilejem białych, których — wbrew takim czy innym konfliktom interesów — jednoczy strach przed czarną Afryką. Alan Paton podał rękę czarnemu bratu. Złamał zwyczaj, podobnie jak ów młody wychowawca z domu poprawy, który wyprowadził z sali sądowej zbolałego pastora Kumalo. „Takich rzeczy nie robi się tak łatwo. Tylko w chwili głębokich przeżyć łamią ludzie ten zwyczaj".

Dla Alana Patona tym głębokim przeżyciem stała się tragedia jego kraju. Wywodząc się z angielskiej rodziny od kilku pokoleń osiadłej w Południowej Afryce, Paton ukochał tę ziemię tak serdecznie, jak kocha się ojczyznę. Miłość do tej ziemi, troska o jej losy przepełniły go tą szlachetną żarliwością, jaka bije z kart jego książki, kazały mu bezwzględnie i śmiało spojrzeć w twarz prawdzie. „Dopiero gdy człowiek dojrzeje, dowiaduje się, że są tutaj i inne rzeczy, nie tylko słońce, złoto i pomarańcze. Dopiero wtedy dowiadujemy się o nienawiści i lęku panującym w naszym kraju. Dopiero wtedy człowiek zaczyna kochać ten kraj głęboko i namiętnie..."

Piękny to kraj, bogaty kraj, Południowa Afryka. Ludzie w nim dzielą się na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, ciemiężycieli i ciemiężonych. Podział klasowy pokrywa się niemal idealnie z podziałem rasowym. Proletariat jest czarny, burżuazja — biała. Wszystko należy do białej burżuazji: kopalnie, fermy, przedsiębiorstwa, fabryki. Udziałem proletariatu jest praca; nisko płatna, to prawda, ale gdyby podnieść dniówki robotnikom... Nie, o tym nie może być mowy. Zresztą, jakie potrzeby może mieć taki czarny robotnik. Wyżywienie i mieszkanie ma na miejscu... Cóż więc stąd, że zarabia piętnastokrotnie mniej niż biały?

Piękny to kraj, sprawiedliwy kraj, Południowa Afryka. Wartość człowieka mierzy się w nim kolorem skóry. Ludność czarna mieszka w specjalnie dla niej stworzonych rezerwatach. Ziemi wydzielono jej tak mało, że przenosi się gremialnie do miast. Tam buduje z desek, blachy i worków całe dzielnice. Czeka na nią osobny tramwaj, osobna szkoła, osobny kościół albo osobne miejsce w tym kościele... Nie, trzeba przyznać, szkół czeka niewiele. Zresztą, czy wszystkie czarne dzieci muszą otrzymać wykształcenie? Któż by wtedy pracował w kopalniach, na fermach, w przedsiębiorstwach i fabrykach... Cóż więc stąd, że na szkolnictwo dla czarnych wydaje się dwunastokrotnie mniej niż na szkolnictwo dla białych?

Piękny to kraj, szczęśliwy... Nie, pisać tak dalej znaczyłoby tyle, co naigrawać się z nieszczęśliwej ojczyzny Alana Patona. A przecież jego książka powstała nie dla żadnej innej przyczyny ale właśnie po to, aby udziałem Południowej Afryki stało się szczęście, sprawiedliwość i piękno.

*

KIEDYś — a czas ten nadejdzie niezawodnie — gdy w wolnym państwie murzyńskim, w wolnej Afryce, czarni uczeni zasiądą do spisania dziejów martyrologii swej rasy, wśród obfitej bibliografii zgromadzonej w tym dziele powieść Alana Patona zajmie poczesne miejsce, jakkolwiek trzeba ją będzie zaopatrzyć w pewien komentarz krytyczny. Dziś powieść ta — nim stanie się ważnym dokumentem historycznym — jest aktualnym aktem oskarżenia. Szkoda, że nie wiemy, jak zareagowała na nią prasa południowo-afrykańska. Możemy tylko z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że jej autor więcej znalazł wrogów niż przyjaciół. Sytuacja ta byłaby całkiem odmienna, gdyby wśród ludności czarnej był mniejszy procent analfabetów. Powieść ta byłaby najbliższa tym, którzy jeszcze czytać nie potrafią.

Na czym polega zwycięstwo Patona jako pisarza? Skąd bierze się siła tego aktu oskarżenia? Niewątpliwie stąd, że Paton wie, jakiego świata chcieć, z jakim walczyć, po czyjej stanąć obronie. Niewątpliwie stąd, że Paton jest pisarzem walczącym o świat, który przywróci życiu prawa wolności, równości i sprawiedliwości społecznej. Niewątpliwie stąd, że sprawy ogólne, konflikty społeczne i rasowe, umie przełożyć na losy jednostkowe, że umie ukazać je poprzez konkretne życie ludzkie. Oskarżenie systemu kolonialnego nie jest oskarżeniem wprost. Jest oskarżeniem poprzez skutki, poprzez destruktywne oddziaływanie systemu na człowieka. Tym silniejsza jego wymowa. Czytając książkę Patona, dobrze wiemy, że wyrok śmierci spadający na czarnego chłopca, Absalona Kumalo, właściwie padł na kolonializm, że to nie Absalon Kumalo stanął przed sądem, lecz stanął przed sądem system, który go zdeprawował, który oddał tysiące jego braci na pastwę zwyrodnieniu rozbijając szczep i rozbijając ów kodeks moralny jakim rządziła się społeczność szczepowa, a w zamian nie wnosząc nic prócz wyzysku i lęku, i nienawiści. Czytając książkę Patona, dobrze widzimy, że granica nienawiści przebiegać powinna nie między człowiekiem a człowiekiem, lecz między człowiekiem a systemem. Czytając książkę Patona, doceniamy jej wielki humanizm niwelujący przegrody rasowe, przywracający każdemu człowiekowi należną mu godność ludzką.

Jest jednak coś szczególnego w sposobie, w jakim widzi Paton człowieka. Nie, żeby pozostało w nim coś z pielęgnowanego przez rasistów poczucia wyższości, a więc nie jakiś trudno uchwytny dystans wobec świata murzyńskiego. Takiego dystansu między pisarzem a postaciami, które stworzył, nie znajdujemy. Rzecz na czym innym polega. Wydaje się, że cechą, którą pisarz ceni ponad wszystkie inne w naturze ludzkiej jest dobroć, jest owa szczególna zdolność do współczucia, do współcierpienia z bliźnim, do przebaczenia i niesienia mu pomocy. Dobroć ta staje się motorem działania niemal wszystkich występujących w książce postaci — od pastora Kumalo i jego przyjaciela pastora Msimangu, poprzez panią Lithebe, obu Jarvisów, młodego wychowawcę aż po adwokata, który „podjął się sprawy pro Deo". Dobroć ta jest czynnikiem zbliżającym, jednoczącym czarnych i białych. Nie trudno więc zrozumieć, dlaczego tak wielki pada na nią akcent, nie trudno pojąć intencję autora: ludzie są dobrzy, to system jest zły, poprzez swą dobroć usiłują naprawić zło, jakie system wyrządza. A biorąc szerzej: zło systemu ma tę zaletę, że wyzwala dobroć, jaka w ludziach tkwi, że ich łączy i jednoczy, i w jakiś sposób mobilizuje właśnie przeciwko systemowi. Ta szlachetna konstrukcja ma jednak jedną poważną wadę: dobroć jest wprawdzie zdolna do naprawiania szkód jednostkowych, ale dobrocią nie obali się systemu, który te szkody wyrządza.

W książce Patona dostrzec można dość wyraźny rozdział na część oskarżającą i część — powiedzmy — konstruktywną, w której pisarz poprzez losy i czyny postaci usiłuje ukazać sposób zaradzenia złu. W części oskarżającej pada ważkie pytanie, pozostawione na razie bez odpowiedzi: „Kto z nas wie, w jaki sposób powinniśmy pokierować tym krajem? Bo my lękamy się przecież nie tylko utraty naszych majątków, ale także utraty naszej wyższości i utraty naszej białości". Niemal na ostatnich kartach powieści poprzez szlachetne czyny Jarvisa pisarz zdaje się sugerować, że właściwym sposobem byłaby świadoma i dobrowolna rezygnacja z części posiadanych dóbr. Zaskakuje nas takie rozwiązanie. Tym bardziej, że ukazany przez samego Patona zasięg krzywdy społecznej nie da się usunąć metodą indywidualnych dobrodziejstw. I w tym momencie stanowisko zajęte przez pisarza mogłoby kojarzyć się z napiętnowaną przezeń postawą czarnego działacza robotniczego Johna Kumalo, który nie miał śmiałości powiedzieć ostatniego słowa. Ale wbrew tej mylącej sugestii pisarza dostatecznie silna jest krytyczna wymowa jego książki, by dać prawo czytelnikowi do wyciągnięcia pełnych i właściwych konsekwencji z obrazu przedstawionego świata. Dopiero bowiem w śmierci systemu, który ją gnębi, znajdzie odrodzenie ojczyzna Patona.

Wczytajmy się w tę powieść z dalekiego kraju, zapadnie ona w nasze serca tym szczególnym wzruszeniem, jakie dać może tylko kontakt ze szlachetną i dobrą literaturą. Niech w pamięci naszej zapisze się na trwałe głos czarnego ludu, który stanowić będzie o przyszłości Afryki. I nie zapominajmy, że Alan Paton, nasz towarzysz w walce o nowy, szczęśliwy świat, przekazał właśnie dla dobra tego świata tragiczną prawdę o swoim kraju.

Alan Paton, „Płacz ukochany kraju", Wyd. Pax, Warszawa 1954.

WANDA CHYLICKA

MATKA WYSZŁA Z DOMU

TEGO dnia redaktor wrócił wcześniej do domu i otworzyła mu obca kobieta. Zaskoczyło go to nieprzyjemnie, bo zawsze drzwi otwierała pani Kwietniewska. Bardzo ją lubił i ze względu na nią wspólne mieszkanie z obcą rodziną nazywał jednak „domem". Była delikatna i nienarzucająca się. Nawet plastycznie tworzyła jakąś miłą popielatą plamkę, czy mgiełkę, łatwo się rozwiewającą. Odchodziła gdy tylko nie była potrzebna, mówiła cicho i spokojnie. Do omawiania zresztą miała niewiele, za to do zrobienia w tym domu bardzo dużo. Rękawy nosiła krótkie, nie utrudniające pracy rękom. Ręce miały jakby własne dzieje w jej postaci: nadmiernie rozrośnięte w stosunku do szczuplutkiej sylwetki, nadmiernie dorosłe wobec spóźnionej dziewczęcości tej bądź co bądź dojrzałej kobiety, mającej dwoje dorastających dzieci, twarde ręce żywicielki.

Obca kobieta, zamaszysta, krótko ostrzyżona, bezapelacyjnie pchnęła redaktora do kuchni, zamykając drzwi za sobą.

— Nareszcie ktoś! — krzyczała — Pan pewnie ten lokator? A tu nieszczęście w domu... Niech pan tam zajrzy...

W przyległym pokoju ona spoczywała na fotelu z odrzuconą w tył głową. Jedna z rąk w grubym kokonie bandaży wybijała się na pierwszy plan. Wydawało się, że przesłania sobą resztę nikłej postaci. Istotnie nieszczęście...

Obca, widać jedna z tych opryskliwych a czułych na biedę, otarła łzy kułakiem:

— Pozbierałam toto — wskazała ranną — z ulicy i przywiozłam potem ze szpitala. Nie chciała nawet powiedzieć, gdzie szukać rodzinki. Boi się ich, czy co? Taka zahukana? Podobno jest i mąż na dobrej posadzie i syn, i córka. Mogli wziąć taksówkę, zatroszczyć się. Nie chciała nawet prosić córki, dlatego, że się uczy, nie trzeba przeszkadzać!... I mnie nie chciała, ale miałam się pytać? Wzięło się to niezdarne kobiecisko na siłę na opatrunek. Sąsiadka z przeciwka nie ma czasu, ot, ludzie! Ale mówiła, że diabelska ma to być rodzina: ojciec ma już inną i podobno się rozchodzi, córka z fumami do aktorstwa, inteligencja czy chamy, czort ich zna! Obiad wam ugotowałam, ale od jutra zagonię to całe bractwo do roboty, aż im w pięty pójdzie!

Redaktor uśmiechnął się ze smutnym powątpiewaniem.

Wkrótce zaczęła się schodzić rodzina, a obca kobieta, jak przewidywał, nie przeprowadziła swych zamierzeń. Wyglądało na to, że obrażona odeszła, bo usłyszał trzask drzwi na zakończenie wielogłosowego wymyślania. Potem ktoś zapukał.

— Obiad — rzekła chmurnie piękna panna Krystynka.

— To niby nie jedz, jeśliś brzydki urósł — mruknął syn, Staszek.

Wstał i podszedł z talerzem do matki.

— No, przypomnę sobie, jakżeś ty mnie karmiła. Otwórz buzię...

— Nie, ja nie jestem głodna... — broniła się.

Redaktor pokonał wreszcie zakłopotanie i spojrzał na nią. Ponad kokonem z bandaży ujrzał teraz nienaturalnie roziskrzone oczy w szarych obwódkach. W oczach strach i wstyd.

Staszek zaczął opowiadać o jakimś ciamajdzie na budowie, który psuł im dziś robotę, chociaż, oferma, chciał nawet być gorliwy.

— Na pewno symulował — rzekła Krystynka.

— Ty zawsze z podejrzeniami...

— Nie jestem ślepa!

— Kto ty w ogóle nie jesteś! Tylko patrzeć, a gazety będą błyszczeć od zdjęć rewelacyjnej Krystyny Kwietniewskiej. Ten nos! te...

Ojciec z hałasem odsunął krzesło, zmienił marynarkę i zabierał się do wyjścia. Syn patrzał na te przygotowania, pogwizdując przez zęby.

— Już ojciec do tej starej szantrapy! — warknął.

Redaktor poruszył się, jakby chciał zasłonić chorą. Żałował, że brak mu wytrzymałości, ale istotnie doświadczał skurczu serca na myśl o spodziewanej reakcji Kwietniewskiego. Ten dobrze odżywiony i bojowy mężczyzna zazwyczaj nie żałował sobie. Dziś jednak zacisnął zęby i tylko mocno trzasnął drzwiami, wychodząc. Pozostali milczeli chwilę.

— Nawet przy obcych karczemne awantury! — rzekła Krystynka do brata, ale z niechętnym spojrzeniem na redaktora. — W ładnym świetle nas stawiasz — miała łzy w oczach.

Redaktor wstał, dziękując za wspólny obiad.

— Nie! — zatrzymał go Staszek. — Niech pan nie ucieka, panie Wiktorze, i ja, i matka uważamy pana za swojego.

„I ja, i matka?..." czyżby była czymś tak jak oni rzeczywistym i wchodzącym w rachubę? Redaktor bał się odwrócić, aby sprawdzić jak się czuła. Staszek mówił do siostry:

— Kto was będzie utrzymywał? Ja? Mam dziewiętnaście lat — głos mu się załamał.

Istotnie, był jeszcze dzieckiem.

— To tyś właśnie powinna zabrać się do ojca i wyperswadować mu tamtą hecę! Pójdzie stąd i kto ci da utrzymanie?

— O, już mnie on da na pewno! Tamta tak się przyczepiła, że na razie nie ma rady.

— Stara suka! Ohyda... — syknął.

— Ale co to pana ma obchodzić i dlaczego ja mam tego słuchać? — krzyczała już prawie z płaczem. Zresztą wychodzę!

We wspólnym pokoju uwagę wszystkich, choć unikali spojrzeń w tamtą stronę, zdawał się pochłaniać kokon z bandaży. Bezosobowy winowajca ich okropnych humorów i niemej pasji bielał i puchnął na fotelu, przerastał zasoby cierpliwości, dusił i gniótł.

Ojciec Kwietniewski podał niechętnie dłoń redaktorowi. Palił jednego papierosa za drugim i nie silił się na rozmowność. Zupę jedli w milczeniu. Kwietniewski odsunął z odrazą talerz i zaszeleścił torebką czekoladowych cukierków. Poczęstował córkę: — Jedz, boś ładna urosła — roześmiał się na przekór niehumorom.

— A porządki w domu? Takaś królewna? Pewnie, że każdy woli uciec z takiej atmosfery!

— Uczę się! Porządki to sprawa matki. Póki chora, zaczekają. My z ojcem jemy jutro na mieście. Ty, jak chcesz...

Zerwali się oboje naraz. Drzwi jeszcze raz trzasnęły.

Teraz dopiero redaktor znalazł się w kłopocie. Wyjść tak jak oni? Zbyt miał wrażliwe sumienie, zresztą lubił ją naprawdę, popielatą mgiełkę. Chrząknął, odsunął krzesło i wstał, rzucając w jej stronę krótkie spojrzenie z ukosa. Miała dalej w oczach strach i wstyd. Patrzyła przerażona na zwój bandaży, tak jakby wszystkiemu były winne te nieużyteczne ręce. Mówił coś o zapadającym zmroku i zielonej gałęzi, która tak sympatycznie wdzierała się na balkon i że w tych warunkach miło jej będzie raz wreszcie odpocząć. Z czystym sumieniem siedzieć i nic nie robić. Uśmiechała się grzecznościowo, ale oczy miała szklane, z utrwalonym wyrazem strachu. Tylko na słowa „nic nie robić" zadrgały jej powieki. Prócz zranionej ręki jeszcze druga sprawa napełniała ją obawą: jak obcy człowiek osądzał jej dzieci,

rys. B. Jonscher

— Pan pewnie niedobrze dziś myśli o moich?... — zapytała.

Zarechotał krótko i urywanie, rozgarnął rękoma jakieś niewidoczne przeszkody, ale w końcu skinął zdecydowanie głową: nie ulegało wątpliwości, że przeszli dziś in minus samych siebie.

— Nie! — przeczyła. — To jest tak jak z człowiekiem na rozchwianej kładce. Widział pan może? Człowiek się rzuca, żeby nie stracić gruntu, boi się... Narobiło im strachu to moje nieszczęście...

Myślał z przekąsem, że istotnie napędziło im strachu, ale już nic nie mówił, tylko pożegnał się dość niezgrabnie. W swoim pokoju obijał się zrazu z kąta w kąt, ale atmosfera nie sprzyjała dzisiaj pracy i w końcu cicho zemknął uspokoić nerwy w jakimś kinie.

PO kilku dniach zawiózł ją do znajomego chirurga, który orzekł, że ręka pozostanie już sztywna. Przyjęła tę wiadomość w milczeniu, kiwając głową, jak pojętna dziewczynka. W drodze powrotnej w taksówce nie rozmawiali także na ten temat. Dopiero przed samym dojazdem poprosiła szybko:

— Nie trzeba nikomu mówić... Jeszcze się ręka rozchodzi...

Westchnął z rezygnacją. Co do niej, zabrała się zaraz w domu do krzątaniny.

— Powinna pani odpocząć!

— Najlepiej się człowiek czuje przy robocie...

Pluskała przy zlewie, próbowała nawet terkotać na maszynie do szycia zdrową ręką. Objawiała niezwykłą żywotność. Rybka wyrzucona na piasek.

Z jej rodziną starali się nie deptać sobie po piętach. Opieka redaktora nad panią Kwietniewską, bardzo zresztą dyskretna, dotkliwie raniła ich ambicję. Poczciwcy nosili się z dumnym chłodem i — z wyjątkiem najbardziej bezpośredniego Staszka — powściągali o ile się dało swe szczere odruchy. Ta pompatyczna poza nie miała chyba trwałych szans wobec ich temperamentów. Wszystko razem śmieszyło redaktora, jak zabawa w kota i myszkę. Na razie kot był grzeczny i pobłażliwy dla myszy. Nawet sprawa wyprowadzenia się ojca Kwietniewskiego pozostawała w zawieszeniu.

Rozjeżdżali się podobno niezadługo na urlopy. Redaktor miał także okazję wyjazdu nad morze, ale zastanawiał się, czy może to uczynić w tym momencie ze względu na panią Kwietniewską. Toteż z dużą ulgą dostrzegł w niej pewnego dnia jakąś zasadniczą zmianę. Siedziała spokojnie, nuciła i była trochę rozmarzona. Ilość bandaży znacznie zmalała po ostatnich opatrunkach i chora ręka nie wybijała się już na pierwszy plan. Przyschła gdzieś pod swetrem, zwisającym luźno z ramion i nie raziła.

— Lepiej się czujemy! — rzekł wesoło.

— Lepiej, ale pan redaktor przeze mnie zmarniał. Trzeba wyjechać odpocząć.

— No... — wahał się niby — Zamierzałem nawet...

— Trzeba! Koniecznie!

Zapaliła się bardzo do tej myśli, stała się wręcz wymowna. Łatwo odgadł, że poza życzliwością dla niego, po prostu sama tego chciała. Chciała się go pozbyć... Rozumiał, jak ciężko musiała odczuwać balast cudzej dobroczynności, jak przykro jej było znosić opiekę obcego człowieka za plecami najbliższych; tłumaczenie to nie mogło oczywiście sprawić, by nie czuł lekkiej urazy. Jasne, że trzeba wyjechać. Była przecież dojrzała i normalna, na pewno sobie poradzi.

Wyjechał zatem.

Z NAD morza posłał jej serdeczną pocztówkę, ale potem przejął się tak dalece doroczną imprezą kolarską — Wyścigiem Pokoju — że prawie całkiem zapomniał o niej.

Była to szczególna impreza, w której tłum, dziennikarze i spikerzy entuzjazmowali się w równej mierze pierwszymi jak ostatnimi. Podniecony polski spiker z trudem powściągał narodową dumę — Polakom wiodło się znakomicie — ale równie podniecony donosił o owacjach dla jadących na końcu Hindusów. W Warszawie ze stołecznym animuszem przewracano taksówki i wstrzymywano wozy tramwajowe przed redakcją, gdzie właśnie dotarła wieść o dwu polskich zuchach, którzy pierwsi wpadli na łódzki stadion. Chłopcy skakali a dorośli cmokali się z dubeltówki. Nawet starsze panie zapisywały czasy kolarskie w notesikach. Ale tłum nie rzedniał, gdy mówiono o najgorszych kolarskich czasach, bo w niecodzienny sposób przekształcały się one w najlepszy czas ludzkiej życzliwości dla kolarzy Indii. Daleki naród rzucił urok na tłumy, oczekujące gdzieś na trasach, także w deszczu, na przejazd Dhana Singha, Muniappy, Chakravarty'ego. W myśl popularnego wyobrażenia uznano ich zgodnie za filozofów na kółkach, których słusznie nie peszy czas — wartość względna w filozoficznych wymiarach. Spełniali swoje zadania samym udziałem w Wyścigu. Sprawy tak fascynujące dla sportowych asów, jak marka roweru, kondycja fizyczna własna i rywali, czy techniczne sekrety, spadły w stosunku do Hindusów do rzędu ubocznych okoliczności. To się zawsze da nadrobić, a na teraz wystarczało, że jechali razem.

Pod koniec wyścigu już tylko jeden z drużyny hinduskiej, Chakravarty, pokonywał trudy trasy i europejskiego klimatu. Na stadionie praskim tłum czekał na niego, a potem uniósł na rękach swego ostatniego zwycięzcę. Pod tubą głośnika na plaży redaktor słuchał nowin i również unosił się w życzliwości dla dalekiego kolarza, który nie mógł przyjść pierwszy. Zamierzał opisać te wrażenia pani Kwietniewskiej. Czy mogła i ona wątpić, że była potrzebna? Trzeba i można, jak się okazało, zaufać ludziom.

DO wieczora leżał u brzegu morza, zajęty oglądaniem dużego palca lewej nogi, potem prawej i przesypywaniem piasku. Raz dobiła do brzegu łódź. Nieznana sucha staruszka niosła sieci, mąż rybak postępował z wiosłami o kilka kroków dalej. Przeszli a w uspokojonym krajobrazie mewy osiadały na ląd. Pogoda była chyba ustalona, bo obłoki znieruchomiały na jasnym błękicie. Wszystko układało się lepiej na tym nienajgorszym ze światów. Można ludziom zaufać, nieprawda, Chakravarty?

Czuł sen w ociężałych powiekach, zdrowy sen, po którym człowiek wraca do życia ze dzwojoną siłą.

O, przepraszam — uśmiechnął się, wpadając w grupkę ludzi, zgromadzonych pod głośnikiem przy pijalni wina. — Co, jeszcze raz wyścigowy reportaż?

— No, tym razem ostatni. Dla tych, którzy nie słyszeli po południu.

— Ja słyszałem, ale zawsze... przyjemna impreza.

Znamy, znamy, no to posłuchaj... lub 8-go bieżącego miesiąca wyszła z domu w nieobecności rodziny i dotąd nie wróciła. Ubrana prawdopodobnie w szary sweter na perkalowej sukni. Kto by wiedział...

— Jakie nazwisko pan słyszał? — redaktor szarpnął kogoś w ciemności za rękę.

— Kwietniewska — rzekł zagadnięty.

— I co?

— Czyjaś matka... Wyszła z domu przed dziesięciu dniami i nie wróciła...

REDAKTOR wsparł się o słup głośnika i nie odchodził, choć już dawno został sam. Ból kręgosłupa, którym naciskał o drzewo odrywał część uwagi od szumu w głowie, podobnego wywołanemu głodem wrażeniu beznadziejnego chaosu.

Szła... Gdzieś szła. To dlatego wydawała się taka rozmarzona, to sobie umyśliła... Szła gdzieś gościńcem z chorą ręką, wyglądającą prawie zdrowo pod luźnym swetrem. To taki właśnie ułożyła plan... Uprzytomnił sobie nagle pewne związki: na niewielu była filmach, ale każdy mocno zakorzeniał się w jej wyobraźni i pamięci. Chaplinowski człowieczek w rozdeptanych, za dużych butach... Oczy jej jaśniały, kiedy mówiła z zachwytem:

— ... a na końcu gościniec i człowieczek znika... znika... został już tylko punkcik... znikł..

Była na tym filmie jeszcze za dobrych narzeczeńskich czasów. A młody Kwietniewski pewnie wtedy nie patrzył na ekran, tylko szukał w ciemności okazji do ściskania narzeczonej. Patrzyła sama i odurzała się... Na całe życie.

Redaktor ruszył biegiem i słuchał, jak kroki dudnią na pomoście. Chaplinowski człowieczek człapał przodem po powierzchni morza... zmniejszał się... znikał za horyzontem.

W ciemnych uliczkach na lądzie znowu znalazł się na przodzie: melonik, za duże spodnie, za duże buty. Śmieszny, nikomu niepotrzebny Znikał.

Znikał... Nieprawda! Powracał. Powracał właśnie, fantastycznie, jak to on: na barkach hinduskiego kolarza. Kordialnie ściskał wszystkim dłonie. Ktoś schylał się, żeby nałożyć mu nowe buty. Powrócił zatem. I w takiej chwili ona...

Redaktor ocknął się i ogarnęła go złość. Dobiegł do żerdki czyjegoś ogrodzenia i targał nią jak człowiekiem.

Chwilka rozmarzenia, melancholii, proszę pani. Ale potem muszą przyjść i inne! Kocha pani tak bardzo te swoje dzieci... Przyjdzie tęsknota. Za dzwonkiem u drzwi, za rozpalaniem dla nich ognia, za Bóg wie czym, byle blisko. O samobójcze zamiary ja pani nie pomawiam, ale opuściła pani brzydką ulicę i mieszkanie, które tylko dzięki pani było domem. O tym się marzyło? A mogą jeszcze przyjść chwile, kiedy poczuje się pani jak pies pod płotem! To się wymarzyło? — targał żerdką w niepohamowanej wściekłości.

Podarł w strzępy list napisany do niej i stał długo, złamany. Czyjeś kroki uderzały daleko o bruk, jak plusk wody o cembrowinę. Rybacy wychodzili na połów. Słaby wiatr rozmiótł już wszystkie strzępy pod progi niskich domów.

Gdzie była teraz? Może odpoczywała pod progiem takiego domu; może już płakała, że w przeciwieństwie do chaplinowskiego człowieczka nie uda jej się nigdzie zajść ani zniknąć, bo należała przecież do mieszkańców ziemi.

TERESA MUREK

Morskie Oko

Tutaj czas płynie wolniej,
I spóźnił się o wiele tysięcy lat.
Oto ściekają,
Jak żywica przedhistorycznych sosen,
Ciężkie sople gór
I — pokryte łuską — zastygają w wodzie.

A dziewczynka o czarnych oczach,
Które nie widzą ani mnie, ani ciebie, ani własnego odbicia,
Mówi:
„Słyszysz, jaka wielka plusnęła ryba".

WŁADYSŁAWA SZKARADEK-LUBASIOWA

Oparta o noc

Księżyc na ścieżce, gałąź odłamana od drzewa
sama jak drzewo śpiewa.
Weranda w cieniach i w winogradzie
marzenia do snu na leżakach kładzie.
Oparta o noc plecami, w oknie otwartym,
straty i zyski obliczam...
Na serwecie jak na białych kartkach
kreślę — bilans życia.
Wiatr trącił drzewo, pierwszy żółty liść spadł —
na zegarze moim wybiło trzydzieści jeden lat.
Chwieją się myśli moje jak płomyk świecy,
kolorowy motylek młodości chce już odlecieć...
Jak krew z otwartej rany powoli uchodzi życie —
bolało — lecz uczyło uśmiechać się i milczeć.
To dobrze jest, że i rzeka najbardziej rwąca
ucisza się w morzu, gdy dobiega do swojego końca. —
To dobrze jest zbliżać się do spokoju jesieni...
Wzdłuż mojej drogi coraz głębsze cienie,
wzdłuż moich dłoni coraz głębsze cienie,
wzdłuż moich oczu coraz głębsze cienie —
zmęczenia.

STANISŁAW SAPAŁO

„ROXANA" DANIELA DEFOE

DEFOE PO RAZ TRZECI

NIEZALEŻNIE od tego, co na temat „nowej" w przekładzie powieści Defoego napisze krytyk, jedno jest pewne ponad wszelką wątpliwość. Podobnie jak dwie poprzednie pozycje wydane w ciągu ostatnich lat czterech („Dola i niedola sławnej Moll Flanders", 1950 i „Robinson Crusoe", 1953) tak i ta ostatnia nie zawala magazynow czy półek księgarskich Domu Książki. Nakłady wszystkich trzech książek zostały rozkupione w wyjątkowo krótkim czasie, przy czym nie można zapomnieć, że Robinsona i Roxany wytłoczono po 20.000 egz. Ta wielka poczytność angielskiego klasyka na równi z podobnym zapotrzebowaniem na inne, coraz obficiej polskiemu czytelnikowi udostępniane dzieła klasyki europejskiej — świadczy jak najlepiej o tym, że masowy odbiorca coraz trafniej dokonuje selekcji. Zaczytuje do ostatniego egzemplarza książki o rzetelnej wartości artystycznej (a przecież są to, ogólnie rzecz biorąc, utwory wymagające trudnego niejednokrotnie przemyślenia), a odrzuca pozycje o wartościach nikłych, czy zgoła tych wartości pozbawionych, nie bacząc na to, że częstokroć były one wynikiem najlepszych, najbardziej poprawnych zamierzeń ideowych ich twórców.

Pierwsze egzemplarze „Roxany" [1]) oglądaliśmy na wystawach przed kilku miesiącami. Dziś, kiedy książka znalazła się w rękach czytelników, warto zastanowić się, czy wyjątkowo życzliwe jej przyjęcie na gruncie polskim wypływa z jej istotnych, niezależnych od miejsca, czasu i środowiska wartości twórczych, czy też jest ono tylko pewnego rodzaju ryczałtem, podpisem in blanco, danym na konto znanych i uznanych pozycji poprzednich tegoż autora.

Jedno zjawisko jest, by się tak wyrazić, obiektywnie pocieszające. Duża ilość sądów na temat „Roxany". Sądów jak najbardziej różnorodnych i sprzecznych. Sądów, których autorzy nie zawsze potrafią ich treść obronić, tym mniej uzasadnić je. Ale nie to jest najważniejsze. Ważne jest w naszym wypadku co innego. To, że książka Defoego mobilizuje do myślenia. Że nie odkłada jej się na półkę po przeczytaniu jednego czy dwu arkuszy. Roxana jest dzisiaj książką modną. Przynajmniej w Warszawie. Sądy czytelników na jej temat przyjmujemy oczywiście z wielką rezerwą i ostrożnością: zarówno te, które za przykładem przedmówcy uważają historię osiemnastowiecznej kurtyzany za arcydzieło; nie przyklaskujemy jednakże i tym, którzy twierdzą, że jest to książka słaba, podszyta łatwą sensacją, prototyp — oczywiście z zachowaniem perspektywy i miejscowej i czasowej — dwudziestowiecznych romansów straganowych, pełnych melodramatycznych shocków, mnogości nieboszczyków i nieszczęśliwych a zhańbionych kobiet. Rzecz jasna, są to opinie najbardziej krańcowe. Biorąc jednak pod uwagę sądy bardziej umiarkowane, a tych jest oczywista większość, nie podobna już na tym miejscu nie zasygnalizować, że w ogólności pogłosy z odbioru „trzeciej" powieści Defoego są w dużym stopniu powściągliwsze, jeśli idzie o uznanie i pochwałę. W jakim stopniu wynika to z samej książki, w jakim natomiast jest wynikiem ukazania się Roxany po dwu przekładach bezsprzecznie doskonałych powieści tego arcyciekawego i pisarza i obywatela osiemnastowiecznej Anglii — spróbujemy wykazać niżej.

„POLSKA" ROXANA

PRZEDMÓWCA, Jan Kott, z właściwą sobie swadą i lekkością pióra, zgromadził na kilkunastu stronicach sporo ciekawych informacji, naszkicował polityczno-ekonomiczno-społeczny obraz współczesnej Anglii, przekazując obok tego niejedną ciekawostkę z twórczości i życiorysu autora, który nawet w jego własnej ojczyźnie nie jest znany wystarczająco dokładnie. Jest w dalszym ciągu księgą otwartą, prowokującą do sporów, kłótni, hipotez i przypuszczeń. Że przedmówca niewielką część swego eseju poświęcił samej książce jest niewątpliwie słuszne. Przygotował tylko grunt do wartościowego odbioru dzieła sztuki, zasadniczą pracę nad tekstem książki „dyskretnie pozostawiając czytelnikowi. I to jest bardzo dobre. Zakłada tylko stosunkowo wysoki poziom sprawności intelektualnej czytającego, a z drugiej — nakłada na tegoż odbiorcę duży wysiłek samodzielnych przemyśleń, które najskuteczniej rozwiną w jakimś kierunku jego wrażliwość estetyczną, doskonalić będą jego precyzję w poprawnym poruszaniu w świecie trudnych i złożonych zjawisk artystycznych. Są jednak w przedmowie momenty, które niepokoją, które zmuszają do stawiania na marginesie niejednego znaku zapytania. Przy dokładnej lekturze książki znaki te niekoniecznie giną, niejeden z nich trzeba nawet podkreślić czy wzmocnić wykrzykniki że jednak tematem naszym jest książka Defoego, a nie polemika z wywodami przedmówcy, zasygnalizujemy tylko sprawy najbardziej wątpliwe. Konfrontacja przedmów do „Roxany" i do „Moll Flanders" (obie są jednego pióra) każe zwrócić uwagę na zbyt wielką zbieżność a nawet tożsamość pewnych fragmentów jednej i drugiej pracy. Przecież na temat Defoego można z łatwością napisać więcej niż dwanaście stron, a czytelnik słusznie chyba oczekuje od słowa wprowadzającego czegoś nowego, co by jego wiedzę o interesującym go przedmiocie wzbogacało w pewnym choćby kierunku. Tym bardziej, że na obfitość jakichkolwiek opracowań piśmiennictw obcych w ogóle, a w szczególności popularnych, przystępnych kluczy do literatury angielskiej narzekać naprawdę nie można.

Niepokoją również te momenty, które stwierdzają m. in., że Roxana, czy też pewien jej fragment jest arcydziełem, że jej autor jest twórcą pierwszych powieści realistycznych w stylu nowożytnym itp. Podobne sądy zobowiązują w wysokim stopniu. Dowieść ich można tylko w oparciu o d o s t a t e c z n i e zgromadzony materiał, bez tego bowiem nie potrafią wzbudzić sugerowanego przeświadczenia u odbiorcy. I pierwszy i drugi można by zresztą z podobną do ich postawienia łatwością obalić. Dowieść że Roxana nie jest arcydziełem, że nie jest pierwsza... etc.

ROXANA I MOLL FLANDERS

KIEDY w 1731 r., po wyjątkowo niespokojnym żywocie, żegnał się Defoe ze światem — zostało po nim kilkaset utworow, nie licząc tych, co do których kwestia jego autorstwa nie została w zupełności rozwiązana. Pisał tak dużo i o tak rożnych sprawach, że z daleko większą łatwością wymienić można te dziedziny, którym nie poświęcił swej uwagi. Jeżeli natomiast do dzisiejszego dnia ziomkowie pisarza nie zdobyli się na kompletne wydanie jego dzieł — to sytuacja ta nikogo nie zaskoczy. Jest rzeczą normalną, że w tej niepokojącej mnogości zapisanego papieru pokaźna część posiada obecnie wartość wyłącznie bibliograficzną i dlatego przedrukowywanie całej spuścizny byłoby jedynie aktem pietyzmu wobec pisarza, a nie realną potrzebą społeczną. Jeśli idzie o interesującą nas dziedzinę twórczości powieściowej — sprawa przedstawia się nieco inaczej. Większość tych powieści wytrzymała zwycięsko trudną próbę czasu i dziś, w dwa wieki od momentu powstania, są one w dalszym ciągu żywotne. Należą do tych książek, których życie nie kończy się równo (czy nawet wcześniej) z życiem ich twórcy. Zdobywszy uznanie milionów czytelników nie odeszły do lamusa historii literatury, lecz przez coraz szersze kręgi odbiorców są w dalszym ciągu poszukiwane.

Odkładając na bok Robinsona, który każdemu z nas przywodzi na pamięć wspomnienia dziecinnego pokoju, spójrzmy na dwie inne udostępnione nam książki Defoego: „Moll Flanders" i „Roxanę". Porównajmy daty. Pierwsza stanęła na półce księgarskiej w roku 1722, druga znalazła się tam dwa lata później. Jak więc wytłumaczyć zagadkę, która intryguje i zastanawia? Jak wytłumaczyć tę niesłychaną zbieżność tematów i podobieństwo opracowania formalnego przy jednoczesnej rożnicy poziomów i siły ekspresji obu bliźniaczych książek? I tu i tam historia kobiety, którą tak właśnie ukształtowane warunki społeczne zmuszają do występku, która wychodząc od wysokich dyspozycji moralnych upada i pogrąża się w otchłani rozpusty i zła i która pod koniec książki staje się... skruszoną grzesznicą, dostępującą łaski odpuszczenia i powrotu do normalnego życia. Jak więc wytłumaczyć fakt, że — wypuszczona w dwa lata po „Moll Flanders" — sprawia „Roxana" wrażenie pierwotnego roboczego szkicu do wcześniejszej powieści? Szkicu, który wymagał niemało jeszcze pracy od artysty, aby dać w rezultacie wykończone, żyjące własnym życiem dzieło sztuki, jakim jest „Moll Flanders". Niepodobna mi ustalić rzeczywistego stanu — dostępne materiały nie uchylają rąbka tajemnicy z tego ciekawego i ważnego zagadnienia. Jeżeli przypuszczenia te są słuszne w pewnym choćby względzie tylko, jeżeli chodziło tu wyłącznie o zasilenie kusego zawsze budżetu pisarza — to oczywiście spojrzenie na książkę i jej ocenę nie mogą tego nie brać pod uwagę. Jeżeli natomiast ten wielce żywotny problem absorbował autora do tego stopnia, że w krótkim czasie weisnął mu na nowo pióro do ręki, aby dać utwór tak bardzo do poprzedniego podobny, a tak mało w stosunku do niego sugestywny — to oczywiście rozwiązania należy szukać gdzie indziej.

DZIEŁO SZTUKI CZY BAJKA DLA „NIEGRZECZNYCH DZIECI"

PRZEDSTAWICIEL warstw szybko bogacącego się mieszczaństwa, owych „middle classe", które w szeregu rozpraw orężnych i nieorężnych przebudowały radykalnie angielski porządek społeczny i przejęły rzeczywiste rządy sprawami kraju — stał się Defoe jednym z bardów tej klasy, która wytworzyła własną, wyrosłą i dostosowaną do swych potrzeb literaturę. W kręgach tego piśmienictwa powstało niejedno dzieło znakomite wyrosłe z poszukiwania i pasji poznawczej gruntownej, rzetelnej wiedzy o człowieku i otaczającym go świecie. Obok tego stworzono wcale pokaźną liczbę łzawych sentymentalnych obrazków, niesłychanie interesujących dla zbadania, jak troskliwie czytelnicy i twórcy tych produktów pielęgnowali pod względem intelektualno-emocjonalnym przysłowiowe ubóstwo ewangeliczne, a niestety dzisiaj zupełnie nieczytelnych.

Defoe nie należał jednak do tych, którzy usypiali odbiorcę syrenim opowiadaniem panegirycznych bajeczek. Był z tych, ktorzy mieli odwagę wynaleźć prawdę o brzydocie i nędzy, kryjącej się za parawanem mieszczańskiej egzystencji i pokazać ją współczesnym. Bogactwo interesujących go spraw i tematów organizował zawsze wokół dwu problematow: etycznych i socjologicznych. Słowo pisane, dzieło sztuki nie było dla niego przedmiotem łatwej i płytkiej zabawy. Było skutecznym narzędziem walki o wysoką wartość człowieka i protestu przeciw istniejącemu porządkowi, mimo, iż względy, dla których chwytał za pióro, pozwalałyby sugerować coś zgoła przeciwnego.

Z tego właśnie gruntu wyrosła i „Roxana". Wspomnienia, a raczej dokładny pamiętnik kobiecego życia przekazany ustnie jednemu z przyjaciół. Egotyzm takiej opowieści zakłada już sam przedmiot, zwłaszcza, że przy bezpośrednim przekazie unikanie rozbudowywania epizodów drugo i dalszorzędnych jest zupełnie uzasadnione i normalne. Autor tego przekazu informuje we wstępie, że zasłyszaną historię spisał z niewielkimi przemilczeniami głównie ze względu na dyskrecję w stosunku do tych, których nazwisk nie należało zestawiać z nazwiskiem ladacznicy. Tym bardziej, że chodziło tu o osoby znaczne, a związki bynajmniej nie platoniczne. Można by zastanawiać się jeszcze, co było powodem spisania tak wyjątkowo szczerych wyznań, spowiedzi nie tylko z czynów, ale także z zamierzeń i myśli najskrytszych, pełnej tak namiętnego samobiczowania, że mimochodem myślimy o kratkach konfesjonału. Ale i ten dylemat rozwiązuje expressis verbis „słowo" od autorki. Że zdecydowała się na powtórzenie swego życia nie dla wewnętrznej potrzeby przeżycia go raz jeszcze w świecie artystycznej fikcji, że cel jej był głównie utylitarny. Umoralniać. Dać przykład innym, aby nie ulegali pokusie. Umocnić ich w ten sposób przeciwko pokusom, które ona sama przezwyciężała najskuteczniej przez uleganie im w ciągu lat trzydziestu. My jednak patrzymy na pamiętnik jak na dzieło sztuki — i w takiej płaszczyźnie najszlachetniejsze, najgłębsze nawet problematy praktyczne brane są pod uwagę jedynie w kontekście z czynnikami zupełnie odmiennej natury. Czy kunszt artysty potrafił zmusić czytelnika do wierzenia w „prawdziwość" opisywanej historii? W prawdziwość intencji bohaterki? Mamy co do tego poważne zastrzeżenia. A to jest wszak pierwszym warunkiem znalezienia w książce wartości estetycznych, nie mówiąc o tych innych, praktycznych, zupełnie pozaliterackich. Zobaczmy, jak w świetle pamiętnika przedstawia się życie kobiety z mieszczaństwa, bogatej o tyle, że nie przygotowanej do życia samodzielnego — ubogiej zaś w tym stopniu, by po dwu drobnych krachach finansowych znaleźć się na wyłącznej łasce męża-półgłówka, który w rekordowo krótkim czasie wypłukał drobny, przekazany spadkiem majątek. I kiedy wreszcie pozostawił ją samą z pięciorgiem drobnych dzieci, sytuacja jej staje się niesłychanie trudna. Co robić? Po niezbyt przekonujących wahaniach bohaterka idzie drogą najmniejszego oporu. Tutaj postawa autora jest niesłychanie stanowcza i bezlitosna. Diagnoza w płaszczyźnie socjologicznej postawiona została bezkompromisowo. Potępienie układu stosunków społecznych, które produkują ludzi zdolnych do pasożytniczej wegetacji, a nie do czynnego, trudnego życia i w momentach przełomowych stawiają przed nimi jedyną drogę do upadku i występku. Ale ten problem socjologiczny jest przede wszystkim podłożem, na którego tle rysuje i rozwija autor problem etyczny, problem odpowiedzialności osobistej za to jak się postąpi, za tę drogę, jaką w każdym wypadku się wybierze. Z pierwszej „przygody miłosnej" bohaterka wychodzi zwycięsko. Zostaje z dużym majątkiem. Ma wszelkie szanse ku temu, aby wrócić ze złej drogi. Dlaczego jednak po pierwszym upadku następują dalsze, dlaczego upada ona coraz niżej? Dlaczego przez nieledwie trzydzieści lat prowadzi życie rozpustne i występne? „*Sam diabeł nie potrafiłby znaleźć usprawiedliwienia lub podać przyczyny, które mogłyby służyć jako odpowiedź na pytanie: czemu jestem ladacznicą*". Tak wolno mówić bohaterce utworu. Nie wolno autorowi z takim przeświadczeniem zostawić czytelnika, który słusznie się domaga konsekwentnej, logicznej motywacji tego, co dzieje się w świecie fikcyjnej rzeczywistości dzieła sztuki. Powołując tę fikcję do życia twórca musi przyjąć zupełną za nią odpowiedzialność, liczyć się z tym, że fikcja ta rządzona jest przez własne prawa obowiązujące w nie mniejszym stopniu niż analogiczne prawa w świecie rzeczywistym. Nie są to zresztą jedyne pytania, które lektura książki pozostawia bez odpowiedzi. Podobnych wątpliwości rysuje się znacznie więcej. Czy to będą sprawy błahe, jakieś przygody, zdarzenia drobne a nadzwyczajne — czy rzeczy mające dla powieści znaczenie zasadnicze — drażnią one swym prymitywizmem i sztucznością. Dlaczego nie wierzymy w tych wypadkach? Bo to wszystko nie przychodzi jak w życiu. Te wszystkie okoliczności i zdarzenia, całe ich sploty czekają w jakiejś poczekalni, aby w odpowiedniej chwili wejść na scenę i pokierować akcją w najbardziej nawet nieprawdopodobny sposób. W niektórych wypadkach jest to po prostu śmieszne. Pierwszy, legalny mąż bohaterki umiera chyba ze trzy razy, a to dlatego, że po każdej śmierci wydaje się być jeszcze na coś potrzebny. I gdyby historia Roxany nie skończyła się na 259 stronicy — to kto wie, czy śmierć jego nie okazałaby się znowu plotką i czy on sam nie powróciłby jeszcze na arenę powieści. Albo ten epizod z córką bohaterki, bardzo istotny dla odpowiedniego rozwoju akcji. Jakież perypetie przechodzi Roxana, kiedy wreszcie zdecydowała się zerwać z występnym życiem. Jak „cudownie" odnajdują ją w jej ukryciu kochający człowiek i córka z pierwszego małżeństwa, która deptać jej będzie po piętach w groteskowy sposób, chcąc koniecznie zmusić ją do przyznania, że jest jej matką. Ale ta córka była służącą Roxany, znała jej rozwiązłe życie. Chce ona wiedzieć, czy jej matka i Roxana to jedna osoba. Ta zaś pół życia będąc płatną ladacznicą nie może w takim świetle pokazać się własnemu dziecku. Sprawa „komplikuje" się do tego stopnia, że dla ratowania nowej pozycji bohaterki córkę trzeba zgładzić. Czyni to wbrew niby to matczynej woli jej powiernica.

Podobnych, nieprzekonujących swą prawdą psychologiczną momentów jest w książce znacznie więcej. One to właśnie obniżają niepokojąco wartość ideową utworu, a równocześnie przyczyniają się do deformacji jego kształtu artystycznego. Nie tylko jednak rozwój wydarzeń nosi ślady pospiesznej, niedoszlifowanej roboty. Wszystkie figury puszczone w ruch ręką autora grzeszą pod tym samym względem. Powiedzieliśmy już, że ten wysoce egotyczny pamiętnik mówi właściwie o jednej osobie, modeluje jednego tylko bohatera. Kilkanaście innych postaci żyje tylko przez tę postać tytułową. Sylwetki, które posiadają jedynie kontury, wycięte z czarnego, nie pozwalającego dojrzeć nic innego papieru. Czy można jednak atakować w ten właśnie sposób komponowaną książkę? Bynajmniej. Nie ma kompozycji dobrych czy złych — są tylko kompozycje takie lub inne. Tu chodzi o coś zupełnie innego. O to, by figury poruszające się na kartach utworu literackiego, nawet te najbardziej epizodyczne, przypominały prawdziwych ludzi, by o ich egzystencji nie zapominało się równo z odłożeniem książki. By potrafiły wzbudzić u odbiorcy wiarę, głębokie przekonanie w swoje tak czy inaczej ukształtowane istnienie, w to wszystko, co w tym istnieniu ich spotyka. Najkardynalniejszym właśnie błędem powieści Defoego jest to, że ludzie, których poznajemy w czasie lektury, tworzeni są według swoistej recepty, której przepis w przekazie dwudziestowiecznym wygląda mniej więcej tak: ...„Role ich (bohaterów) będą krótkie, lapidarne, ich charaktery — bez dalszych planów. Często dla jednego gestu, dla jednego słowa podejmiemy się trudu powołania ich do życia na tę jedną chwilę. Przyznajemy otwarcie, nie będziemy kładli nacisku na trwałość, ani solidność wykonania, twory nasze będą jak gdyby prowizoryczne, na jeden raz zrobione... damy im na przykład tylko jedną stronę twarzy, jedną rękę, jedną nogę, tę mianowicie, która im będzie w ich roli potrzebna. Byłoby pedanterią troszczyć się o ich drugą, nie wchodzącą w grę nogę. Z tyłu mogą być po prostu zaszyte płótnem lub pobielone..." *

REASUMUJĄC uwagi powyższe trudno jest powtórzyć entuzjastyczne przekonanie tych, którzy twierdzą, że książka jest arcydziełem. Przeświadczenia tego nie da się obronić nawet autorytetem autora, którego opinia o własnym dziele jest również bardzo wysoka. Z tłumaczonych ostatnio powieści Defoego jest „Roxana" niewątpliwie pozycją najsłabszą. Nie należy jednak czasu poświęconego jej lekturze uważać za stracony. Lektura ta uczy wielu rzeczy. Wzbogaca naszą wiedzę o danej jednostce twórczej, przyczyniając się do wytworzenia pełniejszego, a co za tym idzie prawdziwszego jej obrazu. Przybliża i otwiera jedno więcej okno na świat sztuki, na interesujący świat książek. I dlatego wydanie „Roxany" nie jest pomyłką Wydawnictwa. Wprost przeciwnie — jest jego zasługą.

[1]) Daniel Defoe: „Roxana czyli szczęśliwa kochanka". Tłum. z jęz. ang. Janina Pawłowiczowa, przedmową opatrzył Jan Kott, ilustracje i obwoluta Otto Axer. Warszawa 1954, „Czytelnik", s. 258.

PRZYKŁAD GENEWY

(Dokończenie ze str. 1).

mo znacznie ważniejszych od Genewy.

Manewry te, chwilami wrogie, stopniowo stawały się coraz bardziej śmieszne, jak np. ostatni przyjazd Dullesa do Paryża, dokąd zdołał na parę godzin ściągnąć Edena i Mendès-France'a. W rezultacie to niepoważne postępowanie doprowadziło do politycznej izolacji Stanów Zjednoczonych w chwili zakończenia konferencji. Izolacji od opinii publicznej całego świata i wszystkich narodów. Gdy ludy Azji radośnie witają zwycięstwo pokoju, gdy Mendès-France i Eden są jak triumfatorzy przyjmowani w swych stolicach rząd Stanów Zjednoczonych oficjalnie wyraża swą dezaprobatę wobec wyników konferencji a w prasie amerykańskiej czytamy takie oto głosy:

Rosjanie odnoszą zwycięstwo za zwycięstwem, podczas gdy my angażujemy się w konferencjach i rozejmach. Francja z jednego z najpotężniejszych mocarstw stała się państwem odgrywającym nic nie znaczącą rolę w Europie, państwem, które wybrało premiera, demonstrującego tchórzostwo i deklarującego datę, w której podpisze kapitulację. Wielka Brytania ulega chwiejnemu Nehru, który żyje w ciągłym strachu, że kraj jego ogarnięty zostanie wojną. Jak długo będą Stany Zjednoczone prowadzić tego rodzaju grę? Czy dotąd, aż cały świat zostanie stracony, a Stany Zjednoczone znajdą się w sytuacji wyspy otoczonej przez wrogów? (New York Daily Mirror).

Jest to największa porażka, jakiej doznał wolny świat od czasu utraty Chin... W całej Azji biały człowiek utracił twarz. Narody, które mogły być skłonne zostać naszymi aliantami, mogą się obecnie wahać... Koalicja komunistyczna zbliża się do wielkiego triumfu. (Z komentarza Lawrence'a w New York Herald Tribune z 21 bm.).

MÓWIĄC o bilansie konferencji genewskiej nie trzeba zapominać osobistego wkładu ministrów spraw zagranicznych. Niewątpliwie współpraca ministrów Mołotowa i Edena, Czou En-laia, Mendès-France'a i Fam van Donga, która okazała się możliwa i owocna, może w przyszłości pomóc tym mężom stanu w rozwiązywaniu dalszych spornych zagadnień.

Konferencja genewska pokazując jak konstruktywne rezultaty osiągnąć można na drodze rokowań i wzajemnych kompromisów stworzyła doniosły przykład i precedens postępowania w życiu międzynarodowym. Korespondent genewski New York World Telegram z przerażeniem kablował 22 lipca: *Rosja niestrudzenie kontynuuje swą kampanię zimnej wojny przeciwko USA (!)... Oczekuje się, iż komunistyczni i niekomunistyczni Europejczycy i Azjaci wystąpią z żądaniami dalszych konferencji.* — Oto rzadki przykład słusznego wniosku opartego na błędnych przesłankach.

Istotnie droga do dalszych konferencji międzynarodowych została otwarta. Przede wszystkim w nowym klimacie narzuca się konieczność ponownej konferencji w sprawie niemieckiej i w sprawie zbiorowego bezpieczeństwa Europy.

Ostatnia nota radziecka proponująca zwołanie takiej konferencji z udziałem wszystkich państw europejskich w ciągu najbliższych miesięcy spotkała się z innym niż to było w ostatnich latach w zwyczaju przyjęciem w Paryżu i w Londynie. Nota radziecka zjawiająca się w chwili gdy Stany Zjednoczone przy pomocy najbardziej brutalnych presji dążą do przeforsowania ratyfikacji EVG, do szybkiej odbudowy militaryzmu niemieckiego i utrwalenia podziału Europy na wrogie sobie bloki raz jeszcze wskazuje jedynie słuszną alternatywę zgodną z interesami wszystkich narodów europejskich. Oddźwięk z jakim propozycje radzieckie spotkały się w opinii Niemiec zachodnich, Francji i Wielkiej Brytanii dowodzi, że tym razem politycy waszyngtońscy nie będą już w stanie narzucić rządom zachodnio-europejskim dotychczasowego: nie.

Naród polski, którego ogromny wkład w walkę o pokój znany jest na całym świecie z głęboką radością powitał sukces konferencji genewskiej. Cieszymy się, że naród wietnamski zdobył nareszcie możność budowy pokojowego życia. Cieszymy się z szerokich perspektyw pokojowych otwartych w wyniku obrad genewskich, jak również z zaufania, jakie uczestnicy konferencji okazali Polsce proponując, by kraj nasz był jednym z trzech państw odpowiedzialnych za właściwe wykonanie podpisanego rozejmu. Fakt, że Polska Ludowa będzie w Indochinach jedynym państwem reprezentującym obóz socjalistyczny i kontynent europejski jest niewątpliwym dowodem jak poważnie wzrósł międzynarodowy autorytet naszego kraju.

Nowa sytuacja nakłada na Polskę nowe poważne obowiązki. Ludy Azji — jak podkreślił to w Warszawie premier Czou En-lai — oczekują od nas dużego wkładu w dzieło pokoju na kontynencie azjatyckim. Równocześnie stoi przed nami zadanie aktywnego udziału w najbliżej nas dotyczącym rozwiązywaniu problemu niemieckiego i poszukiwaniu dróg do kolektywnego zagwarantowania bezpieczeństwa Europy. **Dominik Horodyński**

ANDRZEJ SZAREK

Poszukiwania twórcze Dymitra Szostakowicza

MUZYKA rosyjska początków naszego stulecia rozwija się pod wpływem dwojakich tradycji. Z jednej strony Głazunow, Greczaninow, Liadow i inni kontynuatorzy szkoły narodowej oraz tradycji ludowych Glinki, Dargomyżskiego i „potężnej Gromadki" (Bałakirew, Cui, Mussorgski, Rimski-Korsakow, Borodin); z drugiej zaś — przedstawiciele stylu biorącego początek od Czajkowskiego, a kontynuowanego przez Rachmaninowa, Skriabina, Prokofiewa i innych.

Zwycięstwo rewolucji, przemiany społeczne, wymagania nowej epoki socjalnej kierują kompozytorów radzieckich na drogę poszukiwań właściwego epoce języka muzycznego. Rodzi się nowy kierunek, nowy styl, nowy słuchacz. W przeciwieństwie do bezfunkcyjnych utworów muzycznych zachodnioeuropejskich ożywa treść, wyraz muzyczny, program. Kompozytorzy starają się przekazać w swych utworach obraz otaczających ich zjawisk, nurtujących problemów i zagadnień. Najwybitniejszą wśród nich osobowością jest bezsprzecznie Dymitr Szostakowicz przedstawiciel muzyki emocjonalnej, programowej, wyznawca głęboko humanistycznych idei ogólno-ludzkich, nowator i mistrz instrumentacji.

Główną domenę pracy kompozytorskiej Szostakowicza stanowią symfonie. Symfonia będąc najdogodniejszą formą dla oddania ducha życia współczesnego stawia przed kompozytorem ogromne wymagania, zwłaszcza, gdy obejrzy się on na dzieła tak potężne jak epiczne poematy Beethovena, symfonie Czajkowskiego wyrosłe w świecie głęboko lirycznych przeżyć, a zrozumiałe przez miliony słuchaczów różnych czasów.

Szostakowicz już w I Symfonii skomponowanej w 19-tym roku życia zabłysnął talentem, który zwrócił na niego uwagę świata muzycznego. Mimo wyraźnych wpływów obcych młody Dymitr zadziwił śmiałością koncepcji prowadzenia tematów, soczystością charakterystycznych epizodów o różnorodnej skali, a jednak podporządkowanych jednej ciągłej linii dramatycznej dzieła. Wtedy już osiągnął żywe wyczucie rytmów i tembrów instrumentów.

W następnych swych symfoniach (II, III, IV, VI) mających wyraźne założenia programowe nie potrafił jednak przemówić językiem zrozumiałym, pozbawiając je konfliktu dramatycznego. Udała mu się natomiast głęboko liryczna V Symfonia, która weszła do repertuaru nie tylko radzieckiej, ale światowej muzyki symfonicznej. Potknięcia i błędy dopingują kompozytora w poszukiwaniach właściwego wyrazu wypowiedzi. Skomponowany przed drugą wojną światową piękny kwintet fortepianowy jest zapowiedzią powrotu Szostakowicza na pozycje realizmu i prawdziwie dramatycznej, głęboko ludzkiej sztuki. Konflikty narastają. Życie twórcze kompozytora jest nadal pełne przeciwieństw, pełne walki o własną, indywidualną drogę. Obok VII Symfonii, zwanej Leningradzką, wstrząsającej każdego słuchacza realizmem odtworzenia okrucieństw najeźdźcy, patosem cierpienia i męstwa narodu, obok powojennego oratorium „Pieśń o lasach" wyrażającego idee romantycznego rewolucjonizmu, sugestywnych ilustracji muzycznych do filmów „Upadek Berlina" i „Młoda Gwardia", kantaty „Nad naszą ojczyzną świeci słońce" — obok tych wszystkich wspaniałych utworów komponuje Szostakowicz Symfonie VIII i IX, pozycje nieciekawe, niezrozumiałe, odrzucone przez krytykę.

D. Szostakowicz w rozmowie z Jorisem Ivensem

Ta nierówność, niespokojność najwyraźniej występują w ostatnim dziele kompozytora, nieznanej jeszcze w Polsce X Symfonii, od samego początku pełnej przeciwieństw i kontrastów. Beznadziejnie tragiczny charakter przeżyć bohatera, samotnego i przerażonego swą bezsiłą, podkreślony został wieloma środkami. Symfonia nie posiada ani jednej spokojnej części: naprężenie uczuć stale wzrasta, każdy rozwijający się melodycznie temat zostaje nagle ostro załamany, brak rozśpiewania tak charakterystycznego dla muzyki rosyjskiej, a także wykorzystania elementów ludowych, nawet w tanecznej części finału, opartego na obcym psychice tańca rosyjskiego temacie. Mimo to każdy temat, każda najkrótsza nawet fraza zawiera myśl, mówi, wstrząsa. W znakomicie wykorzystanej znajomości dźwięku instrumentów, godnej pozazdroszczenia ekonomii środków nie ma nic zbędnego, nic, co nie byłoby usprawiedliwione treścią. Obraz jest ogromnie sugestywny, choć przez polifoniczne nałożenia ostrych linii tematów powodujące cierpkie współbrzmienia, przez nowe powiązania orkiestralne — trudny do przyjęcia.

X Symfonia będąca jakby odbiciem dotychczasowych dążeń i zmagań Szostakowicza wykonana w Związku Radzieckim pod znakomitą dyrekcją Mrawińskiego rozpętała dyskusję o twórczości kompozytora uznanego, obok Prokofiewa, za najwybitniejszego przedstawiciela epoki. Stojące na dwóch przeciwnych biegunach obozy rozpoczęły spór. Teoretyzowano, udowadniano, zwalczano. Występowano „za" i „przeciw", aż wreszcie podano sobie ręce wobec prawdy przez wszystkich uznanej. Prawdy mówiącej o muzyce Szostakowicza, jako o czymś zaskakująco nowym, odważnym, indywidualnym.

To „nowe" Szostakowicza uwidacznia się we wszystkich jego utworach. Dla lepszego zobrazowania swoich koncepcji kompozytor śmiało w twórczości symfonicznej przetwarza najrozmaitsze rodzaje i formy muzyczne: wariacje, toccaty, fugi, passacalie. Wypowiadając się w tradycyjnej, klasycznej formie sonaty łamie ją w imię przekazania w najbardziej przekonujący sposób nurtujących go treści. Skraca, rozwija, wplata samodzielne formy, przeciwstawia obrazy, zlewa zakończenie z początkiem repryzy, przemienia tempa, nastroje — gwałtowny, bezwzględny. Przeintonowuje obrazy w zależności od koncepcji muzycznej, z zadziwiającą łatwością prowadzi wielotematyczność wypowiedzi. Posiadając intuicję orkiestrowego sposobu myślenia, w każdej symfonii pokazuje nowe sposoby instrumentacji karnie podporządkowane głównemu zadaniu — wcieleniu treści. Treść, program staje się podstawowym elementem tworzywa. Mylić mogą środki, technika; myśl ożywi każdy utwór nawet i ten wycofany przez samego kompozytora.

Bohaterem Szostakowicza jest człowiek z całym bogactwem przeżyć wewnętrznych, życiowych konfliktów, walki. Bohaterem Szostakowicza jest współczesny świat pełen kolizji, wstrząsów i przeciwieństw znajdujących odbicie w dziele kompozytora. Jeżeli w dziele tym obrazy zła malowane są bardzo sugestywnie, podczas gdy zwycięstwo dobra brzmi nieprzekonująco — to już sprawa środków, które nie nadążyły za treścią. Środki, jakimi operuje Szostakowicz nieraz sięgają w formalizm, często zaciemniają myśl twórcy, prawdę dzieła. Nie dziwmy się temu wiedząc, że twórczość Szostakowicza stoi pod znakiem wielkiego eksperymentu i nowatorskich odkryć, z którymi nierozerwalnie związane jest szukanie i błądzenie. X Symfonia będąca nową pozycją w tej twórczej drodze Szostakowicza nie stanowi jej ostatniego etapu.

WSRÓD CZASOPISM

„SLAVIA ANTIQUA", tom IV, za rok 1953. Poznań — Wrocław 1954. Zakład im. Ossolińskich, str. 522.

W ostatnich latach katedra archeologii Polski Uniwersytetu Poznańskiego zaczęła wydawać specjalny rocznik, poświęcony badaniom nad starożytnościami słowiańskimi. Ostatni omawiany tom tego czasopisma, pod redakcją prof. Witolda Hensla, poświęcony jest jednemu z naszych najwybitniejszych znawców średniowiecza, członkowi tytularnemu Polskiej Akademii Nauk, prof. Kazimierzowi Tymienieckiemu, który w roku zeszłym wyróżniony został Nagrodą Państwową I Stopnia za swe monumentalne dzieło „Ziemie Polskie w starożytności". Dedykacja ta jest uczczeniem przez kolegów przypadającego w tym roku czterdziestolecia pracy naukowej dostojnego jubilata.

W tomie tym znalazły się prace czołowych naszych specjalistów. Prof. Tadeusz Lehr-Spławiński omawia etnogenezę Słowian na tle analizy wspólnoty językowej bałto-słowiańskiej. Prof. Józef Kostrzewski i prof. Włodzimierz Antoniewicz poruszają poszczególne zagadnienia archeologii ziem polskich. Prof. Henryk Łowmiański omawia problem Łędziców, a prof. Stanisław Zajączkowski — sprawę plemion Sieradzan i Łęczycan. Hanna Ziółkowska poświęciła swe studium najstarszym targom polskim, a Brygida Kürbisówna — kształtowaniu się pojęć geograficznych o Słowiańszczyźnie w polskich kronikach przeddługoszowych. Prof. Adam Vetulani rzucił nowe światło na najstarszy polski zbiór książek, a mianowicie krakowską bibliotekę katedralną.

Zasługuje na uwagę poruszenie raz jeszcze dwóch problemów, które od wielu lat pasjonują historyków polskich. Prof. Józef Widajewicz i najwybitniejszy mediewista młodszego pokolenia prof. Gerard Labuda wznowili dyskusję na temat wartości dla historii polskiej czasów Mieszka I i Bolesława Chrobrego — wiadomości znajdujących się w starożytnych sagach skandynawskich. Prof. Widajewicz uznaje, że w sagach jest wiele faktów zmyślonych, lecz twierdzi, że przy krytycznej analizie można w nich znaleźć sporo cennych danych. Prof. Labuda natomiast, który swego czasu przeprowadził w Skandynawii specjalne studia nad sagami, odmawia im wszelkiej wartości historycznej.

Jeszcze bardziej dyskutowana była w historiografii polskiej sprawa starożytnego regestru z archiwum watykańskiego pod nazwą aktu „Dagome Judex". Pochodzący z trzecich rąk i wyraźnie zniekształcony wyciąg wspomina o oddaniu przez jakiegoś „Dagome Judex" ziem szczegółowo opisanych — pod opiekę papieża. Z tekstu wynika zupełnie niedwuznacznie, że chodziło tu o ziemie polskie i że wystawcą tego dokumentu był Mieszko I. Istnieje jednak problem, skąd się wzięło imię „Dagome".

W ostatnim tomie „Slavia Antiqua" uczony lubelski Zygmunt Sułowski próbuje rozwiązać tę sprawę wysuwając koncepcję, że Dagome jest zniekształceniem imienia Dagobert, które mogło być chrzestnym imieniem Mieszka. Wszystkie wywody autora nie są bardziej przekonywające niż uzasadnienia wielu innych istniejących w tej sprawie hipotez i w każdym razie nie rozstrzygnęły tej niejasnej sprawy.

SPOTKANIE W LUBLINIE

(Dokończenie ze str. 1)

— Z reformy rolnej dostaliśmy ziemię — mówi cicho, tak cicho, że ledwie ją słyszę — nareszcie zaczęłam pracować na swoim. A potem, po namyśle zapisałam się na kurs dla analfabetów. Dziś widzę, że przez te wszystkie lata, jakie przeszły zanim postanowiłam nauczyć się czytać i pisać, żyłam jak ślepa. Dopiero po lipcu otwarły mi się oczy. Odmłodniałam.

W ciągu minionych dziesięciu lat wyrobnica - analfabetka przemieniła się w przodującą gospodynię wiejską, współodpowiedzialną za losy całej gminy, świadomą tego, co dzieje się w kraju, dobrze znającą ogrom i doniosłość zadań, których realizacji żąda od niej i od całej wsi polskiej wspólne dobro wszystkich obywateli. Biorąc udział w IV etapie konkursu czytelników wiejskich przeczytała kilkanaście pięknych, pożytecznych książek — Sienkiewicza, Ostrowskiego, Żeromskiego, Polewoja, Orzeszkowej, Babajewskiego, Morcinka i Ażajewa.

Ale te lata nowej, radosnej pracy spaliły wiele z zasobów świeżo odkrytej energii.

— Ostatnio zaczynałam już odczuwać zmęczenie, — wyznaje Jonikowa — nie mam przecież dwudziestu lat...

I właśnie teraz przyszła do Jonikowej trzecia młodość. A raczej ona sama odnalazła ją tu, w Lublinie. Stało się to jakoś nagle: w świątecznym dniu Dziesięciolecia Ludowej Ojczyzny, przechodząc przed trybuną wśród gęstych szpalerów wiwatujących ludzi, patrząc na uśmiechnięte, radosne dzieci, podziwiając odmłodzone miasto — odnalazła w tym odświętnym rozgwarze swe młode siły, roztrwonione w gorzkiej pracy na cudzych zagonach.

— Choćby tylko po to warto tu było przyjechać... — dodaje półżartem, pół-serio.

Dochodzimy do Bramy Krakowskiej. Do gładkiej płaszczyzny jasno oświetlonych murów przywarł szeroko rozpostartymi skrzydłami Biały Orzeł — herb Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Brama Krakowska odmłodniała także. O kilka wieków.

6.

ZNÓW stoję na Krakowskim Przedmieściu.

Jest późny wieczór, Lublin płonie tysiącem świateł, Bystrzycą płyną flotylle kajaków, w ciemnej wodzie lśnią odblaski wielokolorowych lampionów. W tę noc długo ludzie nie zasną. Ale noce takie nie zdarzają się często. Raz na szereg lat.

Jezdnią mkną czarne, lśniące samochody, na drewnianych parkietach tańczą robotnicy z FSC z włókniarkami z Łodzi, marynarze ze Szczecina ze studentkami z Krakowa, budowniczowie Warszawy z dziewczętami z lubelskiej Starówki. Z placów i skwerów, z parków i ulic płyną, unosząc się nad dachami Lublina melodie bliskich i znanych wszystkim piosenek.

A z wysokiej, stromej skarpy spogląda na weselące się miasto rzęsiście iluminowana budowla. To Zamek.

Dzień Lipcowego Święta dobiega końca. Był jak przęsła mostu, łączącego dwa brzegi naszego życia: ten, na którym skończyliśmy już pracę z tym, ku któremu zmierzamy, wkraczając na szeroką drogę drugiego Dziesięciolecia.

Jerzy Szeliga

KONRAD EBERHARDT

Wesele nie całkiem beztroskie

GDY pod kurtyną zapalały się światła potęgując nastrój oczekiwania w zapełnionej po brzegi sali — raz jeszcze rzuciłem skierowane do samego siebie pytanie: jakiego Figaro dziś ujrzę? Widziałem ich kilku. Nie ze wszystkimi zawarłem przyjaźń. Najpewniejszy, najbliższy pozostał ten z kart komedii imć pana Caron de Beaumarchais. Dziwną właściwie i zbyt lekko dotychczas traktowaną postacią jest ten uroczy urwipołeć i zarazem znawca życia, cyrulik, muzyk i tancerz w jednej osobie, sługa i zręczny intrygant — ów Figaro, niewiadomego pochodzenia i nazwiska. Gdyby nie on — perypetie ograniczonego panka hiszpańskiego hr Almawiwy, który w kilka lat po ślubie z uroczą Rozyną porzuca ją dla pokojówki, byłyby trudną do zniesienia pustotą, banałem i nudą. Jedynie ten zręczny chłopak zjawiający się zawsze, gdy potrzeba — w „Cyruliku sewilskim" sprytny golibroda spiskujący na rzecz pomyślnego mariażu hrabiego — w „Weselu" żonkoś, zagrożony podstępną grą swego pana, któremu tak wielkie niegdyś oddał usługi — czyni z tej komedii dzieło nieprzeciętne i tylko pozornie płoche i beztroskie.

Wprawdzie długo nie wiedzieliśmy o rzeczywistej rodzinie Figara, że jest synem Marcelliny i doktora Bartolo, ale bez trudu można ustalić literackie pochodzenie tej postaci. Daleki kuzyn mieszczańskiego chłopca Franciona z powieści Sorela, bohaterów Scarrona, Idziego Blasa z powieści Lesage'a, Jakuba z „Kariery wieśniaka" Marivaux... Ale Figaro w zestawieniu z nimi jest innym typem, jest czymś ponad... Gdy Idzi z powieści Lesage'a raźno przemierza hiszpańską ziemię i uwieszony pańskiej klamki zdobywa wreszcie upragnione zaszczyty, gdy Jakub z uśmiechem błogiego samozadowolenia pnie się po stopniach kariery płacąc za nią wysoką cenę upokorzeń — w dziejach ich wszystko jest aż zbyt jasne, wymierne, zrozumiałe, wyrażone bez niedomówień. Czasem przypominają manekiny, do złudzenia naśladujące ludzi — ale Figaro jest żywy. Autor przelał w tę postać własne życie, usposobienie, skierował podobną drogą bieg losu. Mimo swego sprytu, tryskającej wesołości, dowcipu — Figaro ukrywa w sobie prawdziwie ludzki dramat, gdzieś na dnie jego wesołości spoczęła kropla goryczy, jak u bohaterów Moliera.

Ustalając niezliczoną ilość razy zależność między życiem Figara a ówczesną sytuacją społeczno-polityczną Francji, zagubiono gdzieś indywidualność Figara. Wielokrotnie cytowano jego słynny monolog: „Nie, panie hrabio, dlatego, że jesteś wielkim panem uważasz się za geniusza. Cóżeś uczynił dla zyskania tylu przywilejów? Zadałeś sobie trud, aby się urodzić, nic więcej... Gdy ja, zagubiony w lada jakiej ciżbie, musiałem rozwinąć więcej talentów i rachuby, niż zużyto ich w ciągu stu lat, aby rządzić całą Hiszpanią..." Po przeczytaniu tych słów nie trudno wejść w klimat Francji „przed potopem", gdy klasy uprzywilejowane tworzyły zatapiającą się powoli wyspę, broniąc nadal zażarcie jednostkom z innych klas wstępu na wyżyny swoich stanowisk. Zanim tłumy ruszyły na Bastylię — Figaro stanął do słownego pojedynku z Hrabią wygrywając go niewątpliwie. Ale czy odczytano dostatecznie uważnie ów monolog, który przy końcu zawiera jedno z najpiękniejszych wyznań bohatera komedii? „Któż zawiesił te rzeczy nad moją głową? Zmuszony przebiegać drogę, na którą wszedłem nie wiedząc o tym, że ją opuszczę bez własnej woli, umiałem ją tylą kwiecia, na ile pozwoliła mi moja wesołość. Wszystkom widział, wszystkom robił, wszystkiegom użył. Później złudzenia rozwiały się..." Te słowa właśnie przeistaczają Figara ze spryciarza, wesołka i intryganta w człowieka, który cierpi i zdaje sobie w pełni sprawę z każdej krzywdy, jaką mu wyrządza społeczeństwo i ludzie. Gdy po latach włóczęgi, nieudanych prób, wielokrotnych zawodów i rozczarowań pragnie osiągnąć jedyną i pierwszą trwałą zdobycz niezależną od ludzkiej łaski — własną rodzinę — usiłuje mu odebrać żonę człowiek, któremu on sam niegdyś tak skutecznie dopomógł w ożenku... Śmieszne? Niewątpliwie, ale równocześnie gdzieś, „między wierszami" kryje się rzetelny, ludzki smutek. A więc pozorna pustota komedii Beaumarchais kryje coś więcej... Nie w beztroskim weselu cały sens utworu...

Figaro, jakiego poznałem na scenie Teatru Narodowego dzięki wysiłkom Zygmunta Kęstowicza, był inny, różny od swoich poprzedników. Stworzył z pewnością sympatyczniejszą postać od tych wszystkich, którzy starali się obdarzyć tę postać maximum wyrafinowania, zimnej przebiegłości, jakiegoś niemal cynizmu — co udawało się tym łatwiej, gdy skreślono krępujący, choć arcy-ważny monolog w ostatnim akcie. Dzisiejszy Figaro zjednywał, „brał" widownię, mobilizował po swojej stronie sympatyków, przekonywał „dobrą miną", tryskającą inteligencją i szerszą skalą uczuciowości. Dlaczego równocześnie — jak słusznie zauważono — zagubił gdzieś „stylowość", „francuskość" tej postaci — nie wiadomo... Figaro w kreacji Kęstowicza był bardziej polski, bardziej nasz i dlatego tak zjednywał dla swojej sprawy. Trudno powiedzieć, gdzie została lekko naruszona równowaga pomiędzy poczciwą w gruncie rzeczy sylwetką Figara a jej romańskim wyrazem. I Zuzanna (Jolanta Skowrońska) odbiegała od typu zręcznej subretki, tak mocno osadzonej w teatrze francuskim, którym zazwyczaj przydawano więcej wdzięku, inteligencji i taktu niż samym arystokratkom. Dzisiejsza Zuzanna była miłą, liryczną pokojóweczką bez wygórowanych aspiracji. Rozyna — mimo szczerych wysiłków Ewy Bonackiej — mdła, nie wierzyło się, że to o nią kruszono kopie w „Cyruliku Sewilskim". Cherubin (Miłosz Maszyński) nie przekonywał, gdy mówił o budzącym się ogniu namiętności. Na ogół kobiety grają tę rolę z większym powodzeniem.

W porę spostrzegam, że w tym wykazie pominąłem wielkorządcę Andaluzji — Jego Ekscelencję hr. Almawiwa! Igor Śmiałowski również odmiennie nakreślił jego sylwetkę, odmłodził hrabiego do poziomu swego wieku, zrzucił mu nieco dostojeństwa i powagi. Dodało to zresztą przedstawieniu uroku. Ale w całości zabrakło spektaklowi francuskiego nerwu, lekkości, specyficznego, szybkiego tempa. Reżyseria Józefa Wyszomirskiego nie wydobyła tych cech tej typowo francuskiej sztuki. Szkoda tym większa, że ciekawie została pomyślana inscenizacja, jak również oprawa plastyczna Romualda Nowickiego, nawiązująca do „hiszpańskiego" tła „Wesela Figara". Dzięki temu ujrzeliśmy wnętrza bardziej surowe, już bez nieśmiertelnych draperii, kotar, obić jedwabnych, „ludwików" na lwich łapkach kolumn, wazonów i tysięcy podobnych akcesoriów, do znudzenia tych samych. Tym razem w czwartym akcie zobaczyliśmy fragment masywnej architektury hiszpańskiego zamku oraz tańce zbliżone do andaluzyjskiego folkloru. Strojom przydano również prostoty. Raziły tylko niekiedy jaskrawizny, krzyczące skojarzenia barw, np. w sypialni Hrabiny. Poszczególne elementy tego interesującego widowiska wydają się słusznie dobrane — niestety jednak, wydaje się, że rezultat jest niewspółmierny włożonemu wysiłkowi. Grając w hiszpańskich strojach aktorzy nie mieli w uszach porywistego rytmu hiszpańskiej muzyki rozlegającej się za sceną.

I. Śmiałowski jako hr. Almawiwa i w roli Zuzanny Jolanta Skowrońska

ERYK SZADKOWSKI

POETA I JEGO TEATR

POZWÓLCIE, że sięgnę do wspomnień. Przed dwoma laty przyjechał do Polski Bertolt Brecht ze swoim teatrem. W wykonaniu Berliner Ensemble zobaczyliśmy najlepsze z jego osiągnięć.

Nie zapomnę wrażenia, jakie zostawił spektakl „Mutter Courage", wystawiony w Teatrze Narodowym w Warszawie.

Kiedy po ostatniej scenie widowiska — w której znakomita aktorka Helena Weigel, grająca tytułową rolę, wynędzniała, złamana nieszczęściami, podobna do chudego szczura wlecze swój równie jak ona wynędzniały wózek — zapadła zasłona, zerwały się oklaski. Trwały długo, bardzo długo. Wyrażały nie tylko entuzjazm dla wspaniałego utworu, nie tylko podziw dla gry świetnych aktorów, słyszało się w nich coś więcej. Kiedy patrzyłem na widownię, na ludzi, którzy długo stojąc, w uroczystym skupieniu bili brawo, pomyślałem, że dziękują autorowi za coś szczególnie cennego, za własne wzruszenie, które dzięki niemu przeżyli.

BERTOLT BRECHT jest pisarzem znakomitym, choć nie doskonałym, pisarzem, który osiągnął pełnię swych możliwości twórczych, a jednak rozwija się nieustannie. Jego utwory przykuwają uwagę, budzą sprzeciwy i zachwyty, zmuszają do zajęcia wobec nich jakiegoś stanowiska. Żaden z innych współczesnych mu nie był tak często i ostro atakowany, o żadnym nie wydano tylu sprzecznych sądów jak właśnie o Brechcie.

Myślę, że przyczyną tego jest wielkie bogactwo ideowe i artystyczne tych dzieł, zdecydowane zaangażowanie się w rzeczywistość aktualną ich twórcy, w rzeczywistość, od której Brecht się nigdy nie odrywa. Przenikliwym spojrzeniem ogarnia ją i przenika, aby zawrzeć w kształt artystyczny o intensywnym pięknie. Utwory Brechta oddychają życiem.

Nasuwa mi się porównanie: Sartre i Brecht. Wspólna jest obu dramaturgom gwałtowność w atakowaniu rzeczywistości. Francuski filozof podobnie jak niemiecki dramaturg próbuje przeprowadzać w swych utworach analizę stosunków społecznych, obyczajowych i politycznych, ukazuje ten świat w pełni jego konfliktów i sprzeczności, ale inne u obu są punkty wyjścia, różnym zupełnie służą celom ich dzieła. Sartre chętnie zabiera głos w najbardziej palących sprawach współczesności, demaskuje ich pozory i zakłamania z siłą przenikliwości i trafności. I tak na przykład w „Ladacznicy z zasadami" oświetla nieludzkie formy cywilizacji amerykańskiej, w „Umarłej bez pogrzebu" rzuca oskarżenie na okrucieństwa i zbrodniczość rodzimego faszyzmu, ale twórczość Sartre'a płynie z zatrutych źródeł, wynika z błędnych i wyspekulowanych założeń teoretycznych. Ma być niejako udokumentowaniem tez jego filozofii. Celem jego działalności twórczej jest wykazanie nonsensów wszelkich poczynań, przeklętego i rozpaczliwego już w założeniach losu, na jaki skazani są ludzie.

Tymczasem twórczość Brechta rodzi się z czystych i obfitych nurtów ludowości, sięga do najlepszych tradycji narodowych.

Rysem decydującym o odrębności teatru Brechta i jednym z jego najbardziej pociągających uroków są powiązania jego twórczości z folklorem, z tradycjami literatury plebejskiej. Brecht sięga chętnie do zapomnianych widowisk jarmarcznych, komponuje sztuki na wzór moralitetów ludowych. Stąd doniosła rola, jaką u niego grają pieśni i tańce, arie i duety, songi i przypowieści, a więc te środki, w które obfituje dawny teatr niemiecki.

Tej ulubionej przez autora „Kaukaskiego kredowego koła" ornamentyki znajdziemy wiele we wszystkich omal utworach Brechta, ich obfitość niekiedy ciąży nad czystością kompozycji, zaciemniając wyrazistość i wymowę utworów. Ale stąd właśnie płynie malowniczość wizji scenicznych Brechta, stąd ich atrakcyjność. Język, którym Brecht operuje, również wywodzi się ze źródeł tradycji ludowej, ten język często rubaszny a równocześnie tak trafny i świeży jak u najlepszych klasyków.

WPŁYWY poezji ludowej, decydując często o wyborze samego tematu, sięgają samych początków twórczości Brechta. Tak właśnie powstała w latach dwudziestych „Opera za trzy grosze", najgłośniejszy utwór Brechta tamtego okresu, oparty na tekście staroangielskiej krotochwili. Arcydziełem tej metody, polegającej na transformacji folkloru na język sceniczny, jest pełna urzekającego wdzięku opowieść o „Kaukaskim kredowym kole". Jest to kunsztownie udramatyzowana ballada, którą śpiewa gdzieś w Gruzji stary pieśniarz przed zebranymi na łące kołchoźnikami. Utwór skrzy się od barw, pieśni i baśniowych sytuacji — będąc poematem, nie traci jednak nic z realizmu ukazywanych faktów. Ale nie tylko folklor jest źródłem natchnień dla Brechta. Chętnie bierze na warsztat twórczy pomysły cudze, rozwijając je i bogacąc wedle własnych założeń artystycznych. Tak powstaje „Matka" oparta na powieści Maksyma Gorkiego, taka jest geneza „Pana Puntili i jego sługi Mattiego", do której pomysłu dostarczyła pisarka finlandzka Walli Wuluoki, podobnie „Kredowe koło" powstało pod tchnieniem starej legendy chińskiej Li Hsing Tao.

Pomysły te pod piórem Brechta stają się nową kreacją artystyczną; przykładem może być właśnie „Matka", której koncepcja różni się zasadniczo od powieści Gorkiego. Brecht posiadł tajemnicę prawdziwej syntezy artystycznej i umie nią operować.

Możliwości te podziwiamy na przykład w „Panu Puntili" i jego słudze „Mattim", znakomitej grotesce, która w formach lekkiego i zabawnego widowiska umie przekazać ostrą ocenę sytuacji społecznej. Tę umiejętność odkryjemy także i w „Matce Courage", i w „Augsburskim kredowym kole". Ale nadmiar efektów formy, poszukiwanie za jej coraz bardziej urozmaiconymi sposobami prowadzi na niebezpieczne ścieżki ekspresjonizmu. Zarzut ten często wytaczany przeciw teatrowi Brechta należy do najpoważniejszych — czy jest słuszny?

Przecież początki jego twórczości przypadają na okres, kiedy właśnie ten kierunek dominował w literaturze niemieckiej. Jak wszystkie koncepcje sprzeczne z realizmem, był jeszcze jedną drogą zachęcającą twórców burżuazyjnych do ucieczki, do szukania konfliktów i przeżyć w sferze pozadoświadczalnej. Ale i tutaj, podobnie jak w zbliżonym do ekspresjonizmu nadrealizmie francuskim, można było, w początkach szczególnie, odkryć i nurty pozytywne: próbę rewolucyjnego starcia się ze światem umysłowości i obyczajów mieszczańskich.

WŁAŚNIE z tej postępowej odmiany wywodzi się sztuka Brechta; jego „Werble w nocy" (1922) i późniejszy dramat „W gęstwinie miast" (1924) noszą charakter spontanicznego buntu. Ich wymowa ideologiczna jest jeszcze niejasna i zmącona, dopiero później pisarz nauczył się walczyć ze złą metodą artystyczną, ale ekspresjonizm będzie długo jeszcze ciążył nad jego twórczością, od chwytów i sposobów przyswojonych sobie w młodości długo jeszcze poeta nie będzie się umiał wyzwolić. Inaczej niż Johannes Becher podobnie zaczynający od ekspresjonizmu, ale umiejący w końcu znaleźć się na pozycjach realizmu socjalistycznego. Dziedzictwo wczesnych utworów Brechta raz po raz będzie pobrzmiewać w jego najlepszych nawet dramatach. Zaciążyło to i nad centralnym utworem jego teatru, utworem budzącym najwięcej sprzeciwów i dyskusji, nad arcydziełem Brechta, jakim jest „Mutter Courage".

Ideą sztuki miało tu być potępienie wojen, ich zbrodniczości i okrucieństwa, a dalej ostrzeżenie rzucone światu przed rozpętywaniem nowych katastrof. I to miał na myśli Brecht, opisując w szeregu dramatycznych scen przeciętne dzieje Anny Fierling, prostej markietanki z czasów wojny trzydziestoletniej. Ale utwór rozrósł się w sposób nie przewidziany, wykroczył niejako poza ten zamiar, powiedział więcej niż chciał powiedzieć jego autor.

Dzieje „Matki Courage" wlokącej się poprzez dole i niedole wojen, przykutej do swego wózka, niejako skazanej na bezsens swego losu, zdają się być nie tylko oskarżeniem samej wojny, wyrażają sąd nad samym życiem ludzkim, niezrozumiałym, pełnym udręki i pozbawionym właściwie znaczenia, nad życiem, które się toczy dla samego faktu, że się zaczęło. Nie bez przyczyny padło tu nazwisko Jana Pawła Sartre. „Mutter Courage" niepokojąco przypomina utwory egzystencjalistów. Ze strony krytyki niemieckiej padły ostre zarzuty pod adresem tego utworu, że „pobrzmiewają w nim nuty bezgranicznego pesymizmu i fatalizmu" (cytuję za J. A. Szczepańskim — Bertolt Brecht i jego teatr). Czy jednak z takim sądem można się w pełni zgodzić? Przecież właśnie w „Matce Courage" Brecht dał światu cudowną postać Kattrin, niedorozwiniętej kalekiniemowy, która własną śmiercią afirmuje sens życia i sens heroizmu.

Niech mi wolno będzie powołać się na słowa Marii Dąbrowskiej wygłoszone z okazji jubileuszu Jarosława Iwaszkiewicza. Znakomita pisarka powiedziała wówczas, że poeta, który chce szczerze wypowiedzieć swą epokę i własne serce, ma prawo do smutku i nostalgii, do lęku i żalu, do tych uczuć, które są wiecznie ludzkie.

BRECHT pisząc „Matkę Courage" stworzył dzieło o niepospolitej piękności, nadał mu całą gamę odcieni. Jak każde arcydzieło „Mutter Courage" przedstawia bogactwo możliwości interpretacyjnych, tłumaczona może być różnie. Czyż nie dosyć, że jest piękna i że wzrusza nas tak głęboko?

Jeśli zarzut pesymizmu skierowany pod adresem tego dzieła jest słuszny, to tylko z pozycji artystycznych, a nie w sensie integralnym, w odmawianiu pisarzowi prawa do mówienia o życiu tego, co w nim dostrzega. Trzeba pamiętać, że „Matkę Courage" pisał Brecht na emigracji, w okresie, kiedy faszyzm zdawał się triumfować, a katastrofa powszechnej zagłady wisiała nad światem. W utworach napisanych już później Brecht coraz skuteczniej przezwycięża tendencje pesymistyczne, coraz odważniej wchodzi na drogę optymizmu społecznego — wiary w człowieka. Właśnie ten optymizm, dźwięczący w „Kredowym kole", w „Panu Puntilli", wreszcie w ostatnim dziele — w „Sądzie nad Lukullusem", nabiera siły i decyduje o tonacji nastroju. Równocześnie doskonali się i wzrasta artyzm tych dzieł. Jak bardzo świadomym jest twórcą i jak przenikliwym znawcą techniki scenicznej — dowiódł Brecht swoim szkicem o „Modelu Antygony", książce rewelacyjnej, w której odkrywa swe sekrety i prezentuje koncepcje teatralne na przykładzie jednej z własnych inscenizacji tragedii Sofoklesa.

Zebrani na widowni teatru Polskiego w Warszawie podczas spektaklu „Matki Courage" mogliśmy w pełni podziwiać tę siłę niezwykłego talentu i wspaniałej sztuki. Wzruszenie, jakim nas Brecht obdarzył, miało w sobie coś z antycznej Catharsis — oczyszczenia, przyniosło walor bezcenny, ten, który przecież należy do podstawowych składników idei chrześcijańskich — zachętę do współczucia dla losu drugiego człowieka.

Syn matki Courage — Eilif (Hans Christian Blech) w tańcu z mieczem

Helena Weigel jako matka Courage

KILKA SŁÓW

o teatrze

SŁYNNY MOSKIEWSKI TEATR MAŁY BAWI W POLSCE

W Warszawie gościł zespół najstarszego teatru radzieckiego, moskiewskiego Teatru Małego z dyrektorem, wybitnym aktorem M. Cariewem i głównym reżyserem K. Zubowem na czele. Teatr Mały, założony w r. 1824, wsławiony jest tradycjami aktorskimi Szczepkina i Moczałowa, Sadowskiego, Leńskiego i Jermołowej oraz współpracą Al. Ostrowskiego („Dom Ostrowskiego"). Ma on w swym repertuarze najlepsze dzieła klasyki rosyjskiej i światowej oraz współczesnej dramaturgii radzieckiej i postępowej Zachodu. Zespół Teatru po raz pierwszy opuścił granice Związku Radzieckiego i uczynił to właśnie dla uświetnienia święta państwowego Polski Ludowej. Widzowie warszawscy ujrzeli w lipcu i powtórnie ujrzą w sierpniu przedstawienia siedmiu sztuk: „Północne zorze" Nikitina, „Wassa Żeleznowa" Gorkiego, „Port-Artur" Popowa i Stiepanowa, „Intratna posada" Ostrowskiego (w Warszawie tylko raz, w sierpniu), ponadto zaś „Mądremu biada" Gribojedowa, „Barbarzyńcy" Gorkiego oraz „Gdy kruszą się kopie" Pogodina. Cztery pierwsze z powyższych sztuk ujrzą również teatromani Krakowa, Stalinogrodu, Wrocławia, Poznania i Łodzi.

PARYSKI SUKCES ZESPOŁU TEATRU KAMERALNEGO

Dwa przedstawienia „Męża i żony" Fredry oraz jedno — „Grzechu" Żeromskiego przyniosły polskim uczestnikom Festiwalu paryskiego poważny sukces zarówno u publiczności, jak i u krytyki. Szczególnie gorąco oklaskiwano w teatrze Sarah-Bernhardt Janinę Romanównę oraz Aleksandra Zelwerowicza. Uznanie wzbudziły również w Paryżu plakaty obu przedstawień wykonane przez W. Daszewskiego i A. Trepkowskiego.

OPERA BERLIŃSKA Z MOZARTEM PARYŻU

Opera wschodnioberlińska pod dyr. J. Schülera dała w paryskim teatrze Champs Elysées przedstawienia gościnne oper mozartowskich: „Don Juan" i „Così fan tutte". Szczególnie ostatni spektakl zadziwił widzów francuskich swym wysokim poziomem. O ile mediolański reżyser Marcello Cortis starał się na występie w Aix-en-Provence zatrzeć charakter „śpiewnego koncertu", jaki narzuca utwór Mozarta, berlińska inscenizacja nie ukrywała bynajmniej tego charakteru, lecz dzięki wspaniałości oprawy ściśle służącej akcji, wyrównanemu poziomowi gry zespołu, pełnemu kultury umiarowi śpiewaków uzyskała efekt artystyczny wysokiej rangi.

„POSTĘPOWA KLASYKA W SOCJALISTYCZNYM TEATRZE"

Pod tym hasłem odbył się ostatnio na scenie Teatru Narodowego w Bratysławie Tygodniowy Festiwal Słowackiej Klasyki. Zadaniem festiwalu było wydobycie z zapomnienia i ukazanie dzieł młodej (powstałej dopiero w latach dwudziestych) lecz bogatej i ciekawej klasycznej dramaturgii słowackiej. Przegląd ten — obejmujący najlepsze sztuki postępowej realistycznej klasyki od J. Borodáczа przez A. Bagára, Borodáč-Orzaghową, Melíczkową, Šikorową, Sikorę, Kello aż do Krónera i Pántika miał również na celu zbliżenie mało znanej, regionalnej sztuki teatralnej Słowacji — społeczeństwu czeskiemu.

„NADZIEJA" HEIJERMANSA W TNW

Klasyczna pozycja teatru naturalistycznego, „Nadzieja", dramat ze środowiska rybackiego o silnym ładunku protestu społecznego, grana jest na scenie Teatru Nowej Warszawy jako praca dyplomowa absolwentów Wydziału Aktorskiego PWST. Przedstawienie, przygotowane bardzo starannie pod kierunkiem reżyserskim prof. Mariana Wyrzykowskiego (asystent J. Dobrowolski), świadczy o wzrosłym jeszcze od czasu „Balladyny" samopoczuciu scenicznym i artystycznej dojrzałości młodych odtwórców. W rolach męskich wyróżnili się Fr. Pieczka (szyper), Zdz. Leśniak (stary Kobus), M. Czechowicz (Geert), w kobiecych — J. Szymkiewicz (Jo) i wykazująca duże zacięcie charakterystyczno komiczne D. Firek (wdówka Sartowa). W całości, poziom przedstawienia szkolnego nie ustępował na ogół poziomowi przedstawień zespołu stałego TNW.

o plastyce

U MŁODYCH ARTYSTÓW

We Francji dużym wydarzeniem w historii sztuki kościelnej było ufundowanie w 1920 r. przez Maurycego Denis i Jerzego Desvallieres Atelier Sztuki Religijnej, które mieści się w Paryżu przy ulicy Furstenberg. Atelier to miało skupić młodych artystów pragnących poświęcić swój talent przede wszystkim sztuce kościelnej. Corocznym przeglądem ich osiągnięć stały się wystawy organizowane przez ten ośrodek.

Również w ostatnich dniach w domu św. Jakuba przy ulicy Dantona Atelier Sztuki Religijnej zorganizowało wystawę obrazów, rzeźb i różnych przedmiotów, których celem jest ozdabianie wnętrz kościelnych. Jak stwierdza recenzent „Actualité religieuse dans le monde" — do najbardziej dojrzałych dzieł należą witraże Jacqueline Lellevre Archepel oraz Rosine Sicot, a także grafiki tej ostatniej artystki.

DWIE CIEKAWE WYSTAWY PLASTYCZNE W PRADZE

W Pradze w Muzeum Narodowym otwarto dwie interesujące wystawy: „Wystawę Sztuki Francuskiej XIX i XX wieku" oraz „Wystawę Sztuki Chińskiej". Plastykę francuską reprezentują nazwiska tej miary co: Delacroix, Daumier, Courbet, Corot, Renoir, Gauguin, Cézanne, Van Gogh, Seurat; w rzeźbie — Rodin.

Wystawa Sztuki Chińskiej (której otwarcie umożliwiło cierpliwe i żmudne wyszukanie i zgromadzenie rozproszonych po całym kraju okazów) jest wydarzeniem wyjątkowo ważnym dla społeczeństwa czeskiego, gdyż dotychczasowa znajomość sztuki chińskiej w Czechosłowacji była bardzo nikła. Zgromadzone w Muzeum Narodowym (obejmujące wszystkie niemal epoki) eksponaty z zakresu: rzeźby, malarstwa, ceramiki, tkactwa, grafiki, rytnictwa, snycerstwa — dają dostateczne pojęcie o pięknie i technicznej doskonałości starożytnej sztuki Chin.

RADZIECKIE WYSTAWY PLASTYCZNE

W Domu Plastyków w Leningradzie otwarto tradycyjną wystawę prac miejscowych malarzy, rzeźbiarzy i grafików. Na wystawie znajduje się ponad 400 prac. Większość z nich przedstawia życie ludzi radzieckich, niektórzy malarze ukazali piękno rosyjskiej przyrody. Tamara Pastuchowa, która niedawno wróciła z Chin wystawiła obraz „Dżonki na rzece Chaunpu" oraz portret uczennicy chińskiej.

Równocześnie w Moskwie otwarto pierwszą Wszechzwiązkową Wystawę Twórczości Artystycznej robotników i pracowników umysłowych. W trzech obszernych pawilonach wystawiono ponad 2 tysiące dzieł malarstwa, grafiki, rzeźby i sztuki dekoracyjnej.

o wszystkim

275 MILIONÓW DZIECI NIE CHODZI DO SZKOŁY

Luther Evans, generalny dyrektor UNESCO ogłosił w dniu 5 lipca, że z ogólnej liczby 550 milionów dzieci, żyjących obecnie na świecie ponad połowa, a mianowicie 275 milionów nie korzysta z nauczania najbardziej podstawowego. Tę bijącą na alarm, smutną statystykę dyrektor Evans sygnalizował międzynarodowej konferencji, dyskutującej nad zagadnieniami oświaty publicznej, jaka zebrała się ostatnio w Genewie. Warto byłoby rozwinąć tę statystykę i wykazać w jakich krajach i z jakiego powodu miliony dzieci pozostają poza granicą cywilizacji, jak również zastanowić się jak należy ocenić tych, którzy za ten nie do pomyślenia w wieku dwudziestym stan rzeczy są odpowiedzialni.

50 ROCZNICA URODZIN PABLO NERUDY

Jak doniosła agencja Tass, w Santiago odbyło się uroczyste zebranie poświęcone 50-leciu urodzin poety chilijskiego Pablo Nerudy. W zebraniu tym wzięli udział liczni pisarze i obrońcy pokoju Ameryki i Europy. Między innymi przybyli: pisarz brazylijski Jorge Amado, pisarze argentyńscy: Maria Rose Oliver, Oliverio Jironde, Pablo Rojas, poeta paragwajski Elvio Romero, delegacje pisarzy czechosłowackich i bułgarskich.

Z okazji 50-lecia urodzin poety na uniwersytecie chilijskim otwarto wystawę przedstawiającą dokumenty z życia i działalności Pablo Nerudy oraz książki poety przetłumaczone na różne języki.

KU CZCI GEORGE SAND

W związku z 150 rocznicą urodzin George Sand, w Nohant odbyły się uroczystości poświęcone pamięci tej znanej pisarki francuskiej. Wśród wielu zaproszonych gości Akademię Francuską reprezentował André Maurois, Związek zaś Pisarzy Francuskich — pani George Day. Obecna była także prawnuczka pisarki Aurora Sand.

Równocześnie w Moskwie zorganizowano wielką wystawę poświęconą życiu i dziełom George Sand. Wystawa ta otwarta jest w Bibliotece Narodowej pisarzy obcych i można na niej zobaczyć wiele oryginalnych dokumentów.

UTWORY CZECHOWA W JĘZYKU FRANCUSKIM

Postępowe wydawnictwo „Les éditeurs français reunis" wydało ostatnio nowy tom utworów dramatycznych Czechowa w doskonałych przekładach i opracowaniu Elzy Triolet. Tom zawiera następujące dramaty: „Wiśniowy sad", „Trzy siostry", „Wujaszek Wania" i „Mewa". Jest to już czwarty tom przekładów z Antoniego Czechowa. Dotychczas ukazały się w poprzednich trzech tomach utwory powstałe w latach 1883, 1884 i 1885. Warto zaznaczyć, że przekłady te sprzedawane są we Francji po wyjątkowo niskiej cenie.

ODZNACZENIA Z OKAZJI 10-LECIA POLSKI LUDOWEJ

W dniu 21 bm. minister Kultury i Sztuki tow. W. Sokorski wręczył twórcom i działaczom na polu kultury wysokie odznaczenia państwowe przyznane im przez Radę Państwa w związku z 10-leciem Polski Ludowej.

Spośród twórców i działaczy kulturalnych odznaczeni zostali m. in.:

Orderem „Sztandar Pracy" I klasy: Igor Newerly literat, Melania Kierczyńska — literatka, Gustaw Morcinek — literat, prof. dr Jan Zachwatowicz — generalny konserwator m. st. Warszawy.

Orderem „Sztandar Pracy" II klasy: Kazimierz Brandys — literat, Erwin Axer — kierownik artystyczny Państw. Teatru Współczesnego, Gustaw Holoubek — aktor.

Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski: Maria Dąbrowska — literatka.

Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski: Jan Kurnakowicz — aktor, Zbigniew Pronaszko — plastyk, Marian Wnuk — rektor ASP w Warszawie, prof. Eugeniusz Eibisch — plastyk, Stanisław Szpinalski — rektor PWSM, Janina Broniewska — literatka, Mieczysław Jastrun — literat, Jan Parandowski — literat, Antoni Słonimski — literat, Witold Rowicki — dyrygent Filharmonii Warszawskiej, Tadeusz Sygietyński — kompozytor.

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wkręsłodrukowe RSW „Prasa", W wa, Marszałkowska 3/5. Zam. Nr 1683 5-B-120086